

# 6. ROK KOTA



CENTRAL EUROPEAN PRESS CORPORATION 03 REGIOPOLIS  
ŚRODKOWO - EUROPEJSKA KORPORACJA PRASOWA REGIOPOLIS

www.RegioPolis.net e-mail: nimendelu@yahoo.com.cn



## ULICA WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

MIESIĘCZNIK MAIL ARTU

Nr 6 (90) 29.VI. 2x1000+7

ISSN 1732 - 0941



*Rospuda, Ticha Dolina czy skażenie terenu PZL-Świdnik (czy tylko?) bezwodnikiem chromu - zaiste liczyć mogą już chyba tylko na TEN (spójrz w niebo, Czytelniku) Sąd Najwyższy... Fot.: Jacek Zalewski*

© COPY LEFT

**WYDAWANY JAKO DOWÓD NA ISTNIENIE  
PÓL SWOBODNEGO MYŚLENIA**



## MYŚLI KARASIA, CZYLI KARAŚ MYŚLI

Tym razem nieco Karasiowych „Skojarzeń”:

*działacz monarowski – monarchista*

*entuzjaści żużla – promotorzy*

*śpiewy patriotyczne – rotacja*

*robotnik feudalny – prefabrykat*

*literatura marginesu – elementarz*

*śpiew chóralny – głosowanie*

*zabawny antysemita – playgoy*

*niemieckie clo – frycove*

*południowy sąsiad – szwejkana*

*zachodnia pomoc – darwinizm*

*polska liga – golgota*

*spęd baranów – capstryk*

*hodowca sadu – sadysta*

*uczestnicy party – partyzanci*

*wiersze oprawcy – katastrofy*



MARIAN KARAŚ

WIEJSKA Z KLASĄ (niekiedy z czterema)

**KOLEDZY**

Pielengniawki za dużo se  
pozwalają. To mogom być  
osoby podstawione przez  
agentów! Sprawy trza  
szybko rozwizać. Na razie  
nie użyjemy gazów i pałek.  
Wierzymy, że pentraktacje  
zakńczom siem naszym  
zwycięstwem. Bądźcie  
czujni! A jak coś to  
dzwonicie do mnie.

*Januszelli*

MICHAŁ GRACZYK





## ... A SŁOWACY MAJĄ CICHĄ DOLINĘ...

Dnia 27-04-2007 o godz. 14:17 Radosław Ślusarczyk  
<suchy@pracownia.org.pl> napisał(a):



ABY TICHÁ OSTALA TICHOU

Wzwanie do Akcji!!! Organizujemy długi weekend !!!  
Na obszarze jednego z najcenniejszych fragmentów Tatrzańskiego  
Parku Narodowego na Słowacji, w Suchej i Koprowej Dolinie,  
stanowiących rezerwat ścisły trwa wielka wycinka drzew!!!

11 kwietnia br. słowackie służby leśne wkroczyły z ciężkim sprzętem,  
zmieniając te cenne przyrodniczo, objęte ochroną i malownicze lasy w pobojo-wisko. Od 21 kwietnia aktywiści  
z VLK«a, FoE Slovakia i FoE Czech Republic, słowackiego i czeskiego Greenpeace oraz wielu innych organizacji  
rozpoczęli pokojową blokadę wycinki. Aktywiści nieprzerwanie stoją na drodze dojazdowej blokując poruszanie  
się ciężkiego sprzętu do zwózki drzew z tatrzańskich Dolin. Akcję wspierają naukowcy oraz znane  
osobistości ze świata kultury i sztuki.

O co toczy się spór? Zmieniły się rządy Słowacji, zmieniła się polityka ochrony Tatr. Dyrekcja Parku  
Narodowego, wbrew głosom naukowców, organizacji ekologicznych i opinii publicznej uległa lobbingsowi  
leśników i wyraziła zgodę na wycinkę drzewostanów w rezerwacie ścisłym pod hasłem walki z kornikiem.  
Terror w Cichej - niestety ciągle trwają siłowe próby rozbicia pokojowej blokady przez policję i służby leśne.  
Kilkoro uczestników blokady zostało już rannych, a większość podlega ciąglemu zastraszaniu. (...)

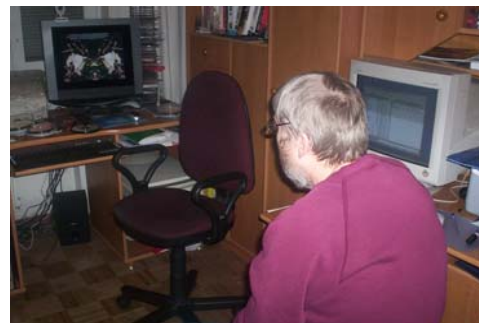
Możesz wysłać do Premiera Słowacji list z prośbą o natychmiastowe zaprzestanie wycinki w Cichej  
i Koprowej Dolinie, na adres:

Robert Fico, Prime Minister of the Slovak Republic, The Slovak Republic Government Office,  
Namestie slobody, 1813 70 Bratislava, Slovakia, fax: +421-2-52497595 e-mail: urad@vlada.gov.sk



**REDAKČNÁ POZNÁMKA:** Stránka [www.ticha.sk](http://www.ticha.sk) nemá záujem poškodzo-va•meno Štátnych lesov TANAP,  
ani lešnikov ako takých. Stránka upozorňuje na záva•nú skutočnosť, •e predmetné lesy sa nachádzajú  
v národných prírodných rezerváciách Tichá a Kôprová dolina v národnom parku. Nejde teda o hospodárske  
lesy! V národnom parku majú byť chránené predovšetkým prírodné procesy. Stránka rovnako upozorňuje na  
skutočnosť, •e štátne lesy TANAP nemajú zákonom vy•adované výnimky z podmienok ochrany chránených  
druhov a súhlas na zásah do biotopov národného alebo európskeho významu.

Brać ekologiczna protestuje,  
leśnicy robią swoje...  
Cicha Dolina jest już Głośną  
Doliną.



3. lutego 2007. R. T. Muszyński demonstruje  
swoje grafiki komputerowe. Fot.: Lele

## ŚWIAT SIĘ KRĘCI NA CZARNO...

To nie moje słowa, a Marka Pietrzeli. Tak zareagował na śmierć trzeciego już w ciągu niewiele  
miesiące kumpla z „Ogrodu/Ogrodu-2”. Jakby mało  
było Longina i Mariusza...

„Tytus” – zrównoważony i wyposażony przez  
naturę w specyficzne poczucie humoru - dawał się  
lubić nie tylko ludziom kontrkultury. Co prawda nie  
zabiegał o uznanie, które - poza środowiskiem  
KUL-owskim – omijało go szerokim łukiem, ale

przez wszelakich oficjeli był, w przeciwieństwie do Szparagi, tolerowany. Za swój artystyczny sukces uważał  
edycję trzech tomików „Ogrodu/Ogrodu-2” („A jednak pokazaliśmy sukinkotom, kto w Lublinie pisał dobre  
wersze”) i lata uczestnictwa w ruchu Mail Art. To Sztuka Poczty przyniosła mu międzynarodową sławę, której  
nad Bystrzycą i tak nie przyjęto do wiadomości.

Część prac Muszyńskiego udało się opublikować w „Tygodniku Współczesnym” (1990-1991); były na tyle  
subtelne i abstrakcyjne, iż pasowały niemal każdemu jako materiał ilustracyjny. Redakcje „Kresów” i „Akcentu”  
nigdy nie wykazały najmniejszego zainteresowania „Tytusowym” dorobkiem, aczkolwiek taką winna być ich  
rola. „Niosło” go ostatnimi laty środowisko, w którym dorastał jako twórca – historycy sztuki Katolickiego  
Uniwersytetu Lubelskiego.

Podczas mszy pożegnalnej w kaplicy cmentarza na Majdanku, odprawiającą ją Rysiek Knapiński (dziś już  
ks. prof.) szczerze zapłakał... Był jednym z tych (jeszcze Pawełek Nowacki i jego żona, Gośka), którzy trwali przy  
Muszyńskim do samego końca, wierząc, iż organizm malarza poradzi sobie z regeneracją po polskiej, sztamkowej  
chemii, co pozwoli zaserwować mu drugą, ściągniętą via Warszawa ze Stanów Zjednoczonych.

Nie ma co ukrywać, śmierć Szparagi we wrześniu ub. roku stanowiła wstrząs dla tych, którzy pozostali.  
Każdy ją jakoś „odchorował”. Romek Muszyński nie wygrzebał się jeszcze z czarnych myśli po odejściu  
Longina, gdy dowiedział się od lekarzy o trzecim ataku choroby. Walczył dzielnie, jak zawsze zresztą. I jak  
zazwyczaj Joanna, jego żona, robiła wszystko, co uczynić się dało.

„Tytusa” nikt pocieszać nie musiał. Był pewien, iż organizm wytrzyma i to on pocieszał odwiedzających go  
kolegów. Nie toczyliśmy rozmów o odchodzeniu, a raczej snuliśmy plany na przyszłość. Muszyński niekiedy na  
chwilę się „wyłączał” – był bardzo słaby – ale zaraz wracał do przerwanego wątku. Mówił o sztuce, dobrze  
zapowiadającej się karierze córki – również coraz częściej tworzącej grafikę komputerową – i bolał nad stanem  
świata.

Kpił bezlitośnie z braku klasy polskich polityków, których liberalna pazerność drażniła go tak samo jak  
przeideologizowanie wciąż nie mogących odejść ze sceny – towarzyszy. Romek bowiem każdy czyn swój i cudzy  
- wartościował etycznie. Nie bał się ostrych ocen, choć nie pytany, raczej głosu nie zabierał.

„To nie mój świat – powtarzał ostatnimi czasy – ale jakoś i ja muszę się w nim zmieścić”. Dzięki twórczości  
spełniał się całkowicie, chociaż denerwowały go dyskusje z młodszymi artystami, kolegami córki i zięcia, dla  
których sztuka to tylko swoista forma gry rynkowej. Każde świństwo czy hochsztaplerkę usprawiedliwia w ich  
oczach ewentualny sukces.



*Wystawa Agnieszki, córki „Tytusa” i jej męża (oboje w środku) u Miśki Goś w lubelskiej „Chatce Żaka”. Z prawej Muszyński, z lewej jego żona. Między nimi teściowie Agnieszki.*

zdjęć. Dopiero ostatnie tygodnie pozbawiły go tej możliwości. Zmarł 2. czerwca, prosząc żonę, by pochowała go jak najbliżej Longina.

Tak się też stało.

Ten styl myślenia „Tytus” odrzucał. W czasach „Ogrodu/Ogrodu-2” sukcesem było przetrwanie przez ekipę kolejnego miesiąca, potem jeszcze jednego... Nie mieliśmy złudzeń, iż niektórzy z kolegów donoszą, a lokalna prasa o ile już dostrzegła formację, to traktowała ją jako *komandę* zawodowych skandalistów, „dziwną” formą spotkań z publicznością usiłujących zamaskować brak talentów literackich.

Wyszło na nasze, ale zdecydowanie zbyt późno, by szczerze się cieszyć edytowanymi po kilkunastu latach książkami. Tomiki dokumentowały racje ekipy. Innej roli pełnić już nie mogły.

Muszyński nie zamilkł twórczo po rozpadzie „Ogrodu/Ogrodu-2”. Niewielu kumpli wybrało tę, trudniejszą przecież, drogę. Woleli milczeć. Obrażeni na świat, niekiedy na własną niemoc.

„Tytus” z kolei, dopóki był w stanie zasiąść przy komputerze, pracował nad obróbką nowych grafik czy

LELE



## **Nasza i moja przyszłość w Europie (na marginesie „PL+50”)**

Aby w sposób sensowny zastanawiać się nad przyszłością naszego kraju i kontynentu, rozważyć w pierw trzeba kwestię, czy w ogóle przyszłość da się przewidzieć.

Przyszłość danego człowieka – zawsze, bo przecież wszyscy znamy cel swojej drogi. Co prawda jej konkretny przebieg jest jakby mniej jasny, ale z dużą dozą prawdopodobieństwa określić można rządzące życiem ludzkim prawidłowości. Zawsze płaci się za swoje wybory (niekiedy przez kilkadziesiąt lat się płaci...), zawsze wpływający czas pomniejsza zakres osobistej wolności (niemowle może być wszystkim, osiemdziesięcioparolatek już tylko emerytem, a studwudziestolatek – rozkładającym się ciałem) i zawsze cel osiągnięty jest tylko cieniem celu planowanego. Natomiast rozwój społeczny czy cywilizacyjny zasadniczo nie da się przewidzieć.

Osobliwie żałośnie wyglądają po latach wszelkie wróżby technologiczne. Jako miłośnik literatury fantastyczno-naukowej sporo się naczytałem opisów plastikowych domów i panczerzy czółgowych (na przełomie

czasopismo „Gość Niedzielnny” – nie godzi się, wszak to czasopismo ludzi wierzących. Ale również „Nasz Dziennik” (nie mój) dał głos w sprawie Rosputy. Kolejne rozczarowanie. Nie silono się nawet na szczytę obiektywizmu, zaś zamieszczanie wywiadu z podobno niezłym suwalskim krajoznawcą, w którym mówi on że jaskółka brzegówka jest o wiele liczniejsza od orlika, to już nie wiem jak mam odczytać. Bowiem ci, którzy godzą się na zamieszczenie tak oczywistej, niesprawdzonej bzdury są albo zwyczajnie niedouczeni, albo są manipulantami. Obserwując reakcję innych mediów, powiedzmy bliższych prawej stronie, skłaniam się do tej drugiej odpowiedzi. We wszystkich ich, jak również w telewizji TRWAM przewijała się za to wielka troska o człowieka – znany i powtarzany slogan. Zdaje się jednak, że nie jest tym człowiekiem ekolog, marznący na mrozie w namiocie. Oздеchnięcie tego modlili się bowiem ci, co przyszli do obozu z krzyżami. Nie wyszli oni - o ile wiem - ani razu z podobnymi krzyżami (przy wsparciu wspomnianej telewizji i bratniego radia) pod urząd miejski w Augustowie, kiedy zginęła pierwsza i kolejna osoba pod kołami tirów (być może brat, siostra, matka, syn, znajomy itd.) – by wymóc na władzach choćby postawienie kilku kładek – na których budowę naprawdę nie trzeba funduszy unijnych. Ale przyszli do tych cholernych zielonych lewaków, opłacanych z zagranicy, za to - by zrobić z naszej Najjaśniejszej skansen.

\*\*\*

Wyobrażając sobie znudzone twarze Czytelników „Ulicy...” zmierzam zatem szybko do końca. Smutnie skonstatować można fakt niemal całkowitego braku obiektywizmu mediów uważających się za chrześcijańskie, zatroskane o człowieka itd. Ich postawa, jak wskazują liczne artykuły opierała się na negowaniu tego, co pisze „Wyborcza”. Dla poparcia swego stanowiska nie wahały się wynajdywać jakichś „znanych krajoznawców” z brakami w podstawowej wiedzy przyrodniczej. To smuci, bardzo smuci. Pokazuje bowiem to, co pisał swego czasu nieodżałowanej pamięci Kapuściński, iż w mediach coraz mniej jest miejsca dla rzetelnych dziennikarzy i dla rzetelnego dziennikarstwa, bowiem stały się wybitnie upolitycznione i nawet jeśli dziennikarz chce pisać prawdę to czasem nie może, gdyż nie mieści się ona w linii programowej pisma. To nowy rodzaj cenzury. Boli również to, że nie widać tutaj nawet próby dążenia do prawdy, a dobre jest to, co się zgadza z określonym widzeniem spraw przez opcję, zarządzającą danym medium. Kolejna sprawa to niestety ograniczoność intelektualna i ignorancja dziennikarzy. Wspomniany Kapuściński zalecał kiedyś kolegom po fachu czy w ogóle wszystkim, którzy parają się pisaniem „na jedną stronę swojego tekstu musisz przeczytać sto stron tego, co napisali na ten temat inni”. Chyba każdy z was, drodzy Czytelnicy, widzi jak utopijne zalecenie dawał mistrz reportażu. Poziom wielu artykułów prasowych zwalnia mnie z dodatkowej argumentacji.

I oczywiście polityka. Możemy walczyć jak lwy w obronie jakiegoś skrawka rodzimej przyrody o ile, podniesie to notowania określonej partii na określonym obszarze? będzie kopniakiem zaserwowanym nie lubianemu rządowi? itd. Nie tracimy piórem, choćby ginął ostatni susel, jeśli to nam wspomnianych wcześniej czy podobnych korzyści nie przyniesie.

A nad Rosputą świat się zieleni, liczne jak mrówki orliki składają jaja w gniazdach, nieliczne jak kalifornijskie kondory brzegówki również wysiadują w norkach nad rzeką. Słońce nad tym wszystkim świeci i nie przestaje się dziwować, jakie to piękne.

WOŁODIA WASTOČNYJ

badaniom. Im mniej funduszy na działalność podobnych stowarzyszeń, tym słabsze wyniki opracowań, powstałych w uniwersytetach. Błędne koło, któremu obojętność decydentów tylko sprzyja. A od Niemców, sprzyjających lokalności, Polacy przecież uczyć się nie będą...

**LECH L. PRZYCHODZKI**



## Refleksje Rospudnika (2)

Generalnie jednak na tej wielkiej kampanii, póki co, zaangażowanie GW w ratowanie polskiej przyrody praktycznie się kończy. A tymczasem potrzeby są wielkie: jest budowana *de facto* druga kolejka linowa na Kasprowy Wierch, jest nielegalnie funkcjonujący wyciąg na Pilsko (nakazem sądu od początku tego roku winien być rozebrany). A by aż tak daleko nie sięgać - jest przecież lotnisko w Świdniku. Lokalne media oczywiście od razu zastrzegły, że to nie Rospuda (i owszem, widać to gołym okiem, że to trawnik a nie torfowisko), ale paradoksalnie wielkiej różnicy nie ma. Tam jest ustanowiony obszar ptasi NATURA 2000, tutaj siedliskowy projektowany, nie ma to jednak żadnego znaczenia, bowiem wg dyrektywy siedliskowej UE oba, do czasu decyzji KE, podlegają takiej samej ochronie. Poza tym jest tutaj największa w całej 27-ce krajów UE populacja susła perelkowanego, będącego w Unii gatunkiem priorytetowym, równym, jeśli idzie o reżim ochronny, żubrowi czy kozicy. Czy GW włączyła się w „kampanię susłową”? W pewnym sensie tak - mogliśmy oglądać w Lublinie billboardy z logiem GW i napisem „Chcemy lotniska w Świdniku. Lublinianie”. Czemu tutaj Gazeta nie wesprze swym wielkim autorytetem akcji przykucia się do susła albo rozstawienia namiotu nad jego norką? Prosty odpowiedzi nie ma, należy jednak przypuszczać, że zapewne dlatego, iż głównymi motorami, ciągnącymi sprawę lotniska w Świdniku są osoby związane z PO. Są w grupie lotniskomanów również PiS-owcy, jednak jak wszyscy we wsi Lublin wiedzą, jedni i drudzy żyją tutaj w symbiozie, którą można by określić starym ornitologicznym przysłowiem „kruk krukowi oka nie wykole”. I jak pokazuje rzeczywistość nie ma co liczyć na to, by GW dała susłowi spać spokojnie.

Podobnie rzecz się ma z Kasprowym, jakoś nie widać nowego podhalańskiego Wajraka, a temu pierwszemu, oryginalnemu, zdaje się z Puszczy Białowieskiej za daleko do wysokich Tater. W sumie nie ma co się dziwić zurnalistom z GW, bo wszak naród tu bojowy. Już w XIX wieku Maciej Pinkwart pisał o tatrzańskim ludzie „niezbyt cywilizowani mieszkańcy często-gęsto przymierają głodem, swoje sprawy regulują w zgodzie z naturą a niekiedy według praw ludzkich i boskich, gdzie ostoja sprawiedliwości jest własna ciupaga” i można powiedzieć, że jedyne co się od tamtego czasu zmieniło to to, że nikt już w Tatrach nie przymiera głodem. Mentalność ciupagi zaś miewa się nadal dobrze, o czym mogli się przekonać aktywiści z Pracowni na Rzecz Wszystkich Istot, swego czasu protestujący pod Kasprowym. Pod Tatrami akcja obywatelskiego nieposłuszeństwa mogłoby się nie skończyć jedynie na krzyżach (jak nad Rospudą) – no chyba, że na tym na Giewoncie. A i wśród milionowych rzesz turystów zadających co roku Tatry taka akcja nie byłaby mile widziana. Przypomnę tylko jeszcze, że dolina Rospudy ma status „jedynej” obszaru NATURA 2000, zaś Tatry: parku narodowego, dubeltowego obszaru NATURA 2000 (ptasiego i siedliskowego) oraz światowego rezerwatu biosfery. Refleksje zostawiam Czytelnikom.

Jednak nie tylko GW jest ostoją demokracji, swobód obywatelskich oraz szczerego zatroskania o człowieka. Oszczędzę sobie komentowania tego, co o dolinie Rospudy pisał, jak dotąd uważany przez mnie za przyzwoite

lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych wszyscy wierzyli w rozwój chemii tworzyw sztucznych) lub lampowych, międzywyzdnych radiostacji (nikt mi znany nie przewidział za to wynalazienia tranzystorów i obwodów scalonych). Najwyżej możemy dokonać dość prostych wróżebnych operacji – rzecz rzadką przedstawić jako powszechną (robot-android w każdej kuchni), parę przedmiotów połączyć w jeden (miecz laserowy), to co małe – powiększyć (gwiazdolot to duży samolot), to co duże – zmniejszyć (nanoroboty). Jałowość przewidywania rozwoju technologii jest więc oczywista – decydują bowiem o nim wynalazki i odkrycia, które – po wdrożeniu – powodują technologiczne przewroty; a wynalazki i odkrycia nie da się przewidzieć. Można najwyżej odgadnąć parę kolejnych kroków w rozwoju wynalazku już dokonanego – na przykład za parę lat (jeśli nie miesięcy) będziemy zapewne mogli kupić, o ile nas będzie na to stać, uniwersalny komunikator, będący równocześnie telefonem komórkowym, telewizorem i komputerem z dostępem do Internetu.

Na technice jednak sprawa się nie kończy. Jednym z ulubionych zajęć umysłowych w czasach przemian jest i było przewidywanie możliwych scenariuszy rozwoju społecznego. Nie chodzi w tym wypadku o utopie – one (albo ironizowanie na ich temat) były raczej owocem myśli o idealnym ustroju, nieobcych ludzkości przynajmniej od czasów Platona, a szczególnie się nasilających w „wiekach rozumu”, takich jak renesans, oświecenie, pierwsze trzy dziesięciolecia drugiej połowy XIX wieku, wiek XX w państwach komunistycznych. Chodzi mi bardziej o antyutopie, przewidywania przyszłości, która mogłaby mieć miejsce w wypadku ziszczenia się jakiegось niepokojącego scenariusza historycznego.

Właśnie – niepokojącego (niekoniecznie zaś możliwego). Z antyutopii wnioskować można nie o tym, co może się stać, lecz o tym, czego boją się ludzie w miejscu i czasie, w których antyutopia powstaje. Kiedy Jules Verne pisał „200 miliardów hinduskiej władczyni”, najbardziej się bano rozwoju techniki militarnej: cóż stanie się – pytano – jeśli szczególnie potężne działa dostaną się w ręce złowrogich dyktatorów. George Orwell obawiał się powstania idealnie skutecznych metod propagandy, a np. Iwan Jefremow w nieprzetłumaczonej w Polsce radzieckiej antyutopii końca lat sześćdziesiątych - „Godzinie Byka” dumał, co by się stało, gdyby w warunkach zaawansowanego rozwoju technologicznego nastąpiła recydywa stalinizmu. Przypuśćmy – założyl – że mamy środki techniczne pozwalające ustalić, co myśli konkretna jednostka, a jednocześnie znalazły się u władzy dyktatorskie i pragmatyczno-amoralne rządy. W warunkach koniecznego w tej sytuacji ustrojowej kryzysu ekonomicznego skończy się zapewne na odgórnym ustalaniu dopuszczalnej długości życia ludzkiego. Czy rzeczywiście tak by się stało – trudno powiedzieć, ale z pewnością Jefremow miał prawo się niepokoić o to, w jakim kierunku pójdą przemiany w ZSRR po wycofaniu się z nieśmiałych reform Chruszczowa...

I znowuż, w budowaniu antyutopii wykorzystuje się parę nieskomplikowanych technik. Albo przeszłość ma się powtórzyć, tylko trochę po nowemu (np. znów nastąpi średniowiecze, lecz mniści będą przechowywać w bibliotekach nie skrawki papirusów a ułamki płyt CD), albo konkretny wycinek dziejów jednej kultury zostaje nałożony na projektowany odcinek dziejów innej (lub tej samej, lecz na dalszym etapie rozwoju) kultury (np. po wojnie atomowej powtórzy się w Europie niewolnictwo). Można też pewien margines kulturowy czy polityczny współczesnych lub niedawno minionych czasów (feminizm, homoseksualizm, skrajną lewicę, albo np. aborcję) uczynić w świecie przyszłości elementem dominującym i zobaczyć „co by było gdyby” to, co dziś rzadkie, marginalne, potępiane - stało się częstym, dominującym, cenionym.

Stąd też antyutopie wyjątkowo wyraziście wskazują na ideologie swoich autorów. Przeciwnik aborcji opisze świat, gdzie stosuje się „aborcję wsteczną” – tj. każdy rodzic ma prawo zdecydować o życiu i śmierci swojego niepełnoletniego dziecka, co ma oplakany rezultat, jeśli akurat mu się ono czymś narazi (tu dodatkowo zastosowano *reductio ad absurdum*); zaniepokojony zwolennik tolerancji wskaże na smutne skutki wojny rasowej w USA, gdyby takowa miała nadejść po objęciu władzy przez rasistów. A co by się stało, gdyby władzę objęła Liga Kobiet? Wszyscy oglądaliśmy „Seksmissję”...

Podając ostatni przykład chciałem zaznaczyć, że nie każda antyutopia musi być pisana serio. Mamy i parodie antyutopii... Mamy także jeszcze inne gatunki fantastyki, które nie muszą być przewidywaniem - jak *fantasy*

(zdajemy sobie wszak sprawę, że to co jest baśniowe, nie może się stać rzeczywistym), albo równoległa historia (opisując dzieje, które się nie ziściły – np. świat w którym zwyciężył Hitler – wiemy, że to wariant własnie niezaszczony), ewentualnie są nim tylko częściowo, jak SF. Utopia też nie jest przewidywaniem. To raczej marzenie na temat tego, jakie powinno być ludzkie życie i zwykle dany marzyciel świadom jest, że coś temu idealnemu stanowi rzeczy przeszkadza (natura ludzka, przesady, zło fizyczne... itd. itp.)

Antyutopia natomiast przewidywaniem jest, przewidywaniem na serio, choć realnie wskazuje tylko na to, co potępia, czego chciałby i czego się boi jej autor... na to, które elementy życia społecznego są - jego zdaniem - tak niebezpieczne, że gdyby się rozwinęły, uczyniłyby ludzkie życie nieznośnym. Po wróżbach ich – poznać ich... (że sparafrazuję znany cytat).

Szczęśliwie dla zadania myślowego, jakie przed sobą – pisząc ten tekst – postawiłem, krakowskie Wydawnictwo Literackie wydało jakiś czas temu tom pod redakcją Jacka Dukaja: „PL + 50. Historie przyszłości”. Zawierający 6 futurologicznych esejów (Edmunda Wnuka-Lipińskiego – ten mocno beletryzowany oraz Zygmunta Bauman, Jadwigi Staniszkis, Ryszarda Kapuścińskiego i Stanisława Lema) jak również 17 opowiadań polskich autorów przeważnie (za wyjątkiem Marka Oramusa i Andrzeja Zimniaka) średniego i młodego pokolenia, tj. urodzonych między 1960. a 1980. rokiem. Pomijając wszystkie eseje oraz niektóre opowiadania, których autorzy najwyraźniej nie mieli ochoty odrabiać zadanej im przez wydawcę pracy domowej i napisali poetyckie etiudy o tym, że problem nie ma sensu, bo liczy się tylko osobisty wymiar losu (Daniel Odija), nic się nie zmieni (Tomasz Piątek), albo w ogóle nie wiadomo, co będzie, bo może być wszystko łącznie z powrotem wieków średnich (Olga Tokarczuk), albo czas może zacząć bieć wstecz (Jerzy Sosnowski) – prozaicy przedstawili wizję dość precyzyjnie zdradzającą, czego boi się współczesny Polak.

O dziwo i przede wszystkim boi się demokracji! To znaczy – jej procedura a przede wszystkim prawa. W paru utworach widać poważny niepokój o to, co się może stać, jeśli przyjdzie się podporządkować przepisom dość absurdalnym i uchwalonym przez stosunkowo przypadkowo dobrane grono osób. W ujęciach groteskowych strach ten zaowocował np. historią o tym, jak oskarżony o prenatalne zabójstwo brata-bliźniaka (wszak w Polsce, w świetle ustawy antyaborcyjnej liczy się czas urodzin od momentu poczęcia, a bywa, że w przebiegu ciąży bliźniaczej przeżywa tylko jeden zarodek) młodzian wyszedł z opresji, zawarłszy związek małżeński ze świnką morską (równouprawnienie orientacji seksualnych może prowadzić do legalizacji sodomii) – Andrzej Zimniak: „Kochać w Europie”. Albo żalostno-mroźkowską historią o chłopach polskich wyrzuconych na księżyc Saturna, gdyż polski rząd zgodził się na wykup ziemi, nie zauważwszy, że słowo to zostało napisane z dużej litery – Maciej Dajnowski: „Listy z Tytana”.

Ustawy mogą być rozmaite: wnuk odpowiadać może za długi dziadka (Cezary Domarus: „Biała krew”), można zabronić poezji (Karol Maliszewski: „Ostatnia poetka”), uzależnić awans służbowy od ilości porodów (Bartek Świdzki: „Łabędzi śpiew ministra dźwięku”). Można praktycznie wszystko... Polak AD 2004 - jak widać - w swoim mniemaniu żyje w rzeczywistości Kafkowskiej, gdzie władze mogą wszystko, a on nie może nic, choć oczywiście niby mamy pełnię demokracji. Wymowny to przykład załamania się pewnych nadziei.

Druga grupa koszarów prezentuje nieco inny sposób myślenia, będący nijako rozwinięciem powyżej opisanego. Jeśli można zadekretować wszystko, to może się zdarzyć i tak, że władzę obejmie mniejszościowa grupa i samowolnie wprowadzi w życie swoje dziwaczne idee. W „Sercu wołu” Mai Lidii Kossakowskiej władzę objęły radykalne feministki. W rezultacie kobiety i mężczyźni zamienili się miejscami i to w stopniu zgoła niezawrotnym. Mężczyźni są niewolnikami swoich żon, w pełni ekonomicznie oraz prawnie od nich zależnymi... i jeszcze technologia uwolniła kobiety od konieczności biologicznych (istnieje np. „sztuczna macica”). Z kolei Polska i Europa w prozie Jarosława Grzędowicza („Weekend w Spestreku”) oczekiwała się spełnienia postulatów skrajnej, alternatywnej lewicy; może niezupełnie, bo rządzi ona nie w całej Europie, a tylko w „specjalnych strefach ekonomicznych”, gdzie panuje równouprawnienie płci, ustawodawstwo

## Myśla – rzeka dialogu



Po roku 1989 przypominały o sobie stowarzyszenia regionalne. Przez długie lata władza nie do końca rozumiała, dla czegoż to niektórzy uparcie chcą działać poza istniejącymi, a modelowymi, strukturami. Istniały 3 partie, „zaprzyjżniony” z nimi PAX i ich wszelakie „przybudówki”. Pole do pracy na rzecz PRL szerokie – wielu znalazło tam swoje miejsce. Inni woleli poczekać.

Regionaliści wcale nie mają się dobrze w opuszczonym przez Armię Czerwoną kraju nad Wisłą. Na premierze Olszewskim zakończył się bowiem krótki okres decentralizacji – kolejne ekipy w Warszawie coraz wyraźniej dążą do ograniczenia tak roli samorządów, jak wszelkich inicjatyw oddolnych. Przekłada się to, niestety, na fundusze, a raczej ich brak.

Sensowną działalność można prowadzić jeszcze w obszarach pogranicznych, korzystając z pieniędzy euroregionów. Wnętrze kraju takich możliwości nie posiada.

Stowarzyszenia powstają i po krótkim okresie nadziei – upadają. Co chyba nikogo w stolicy specjalnie nie martwi, bo wszelki regionalizm kojarzy się polskim elitom głównie z autonomią. Tolerowaną między wojnami, w tej chwili traktowaną jako zagrożenie bytu narodowego. Wyraźnie mniejszy ból sprawia decydem wyjazd kilku milionów (wyształconych często) rodaków w poszukiwaniu chleba, niż przyznanie racji tym, którzy gros podatków chcieliby przeznaczyć nie na bezskuteczne programy walki z bezrobociem czy alkoholizmem w skali całej III RP, a na dofinansowanie inwestycji, koniecznych do funkcjonowania prowincji. Przykładem niech będzie tu absurdalna polityka likwidacji lokalnych połączeń kolejowych, w rozumieniu neoliberalnych ekonomistów – szybsza droga do prywatyzacji PKP.

Wbrew takiemu status quo niektórym się jednak udaje.

W Myśliborzu na przykład jeszcze w XX wieku powołano do istnienia stowarzyszenie, które co czas jakiś edytuje „nieregularny kwartalnik”, nazwany – jak i sama organizacja – „Z Biegiem Myśli”. Myśla to niewielki, acz malowniczy, dopływ Odry, niegdyś bogaty w sieć niewielkich wodnych elektrowni, zniszczonych w PRL-u jako wyraźny ślad niemieckiego panowania.

Teren kulturowo ciekawy. Joannicy, templariusze, krzyżacy, północna odmiana gotyku, budownictwo szachulcowe... Biologicznie już gorzej, bo lasy od lat sadzone rękoma ludzi. Choć rozlewiska rzek i niewielkie, leśne jeziora (Pojezierze Myśliborskie np.) satysfakcjonują i zwolenników natury, a pobliski Słońsk jest gratką dla badaczy awifauny.

Naukowcy nie mają tu łatwego życia – niemieckość tych ziem skrzętnie niszczone, wiele warszawskich kamienic zbudowano po wojnie z cegieł, przywożonych z ruin Kostrzyna czy niszczących wioski regionu. Historia miała się kojarzyć wyłącznie z okresem po roku 1945. Wszystkiego zniszczyć się nie dało, sieć zabytkowych kościołów przetrwała, w stanie „różnym”, ale jednak. Podobnie z kamieniczkami miasteczek, dworcami kolejowymi i co okazalszymi budynkami wsi.

Dzisiejsi regionaliści, pozbawieni wielu źródeł, często dopiero uczący się języka niemieckiego, starają się jednak nawiązywać do śladów poprzedników. Ich dorobek publikuje „Z Biegiem Myśli”, kierowane długo przez Marka Karolczaka (którego niedawno miałem okazję poznać osobiście), obecnie przez Ryszarda Jobka.

Numer ostatni, wydany na przełomie maja i czerwca, przyniósł m.in. artykuł Magdaleny Szymczyk o cmentarzysku kultury lużyckiej w Gajewie, historię myśliborskiego (teraz niszczonego, wobec przerwania sieci kolejowej) dworca – pióra Marka Karolczaka, opowieść o zakonach rycerskich na Pomorzu Zachodnim Krystyny i Henryka Konkelów, przypomnienie pleneru malarskiego „Art-Dialog”, możliwego dzięki funduszom unijnego programu Interreg III A i prezentację postaci Karin Wolff, tłumaczki, twórczyni „Salonów Literatury Polskiej” w Niemczech.

Szkoda tylko, iż kwartalnik ukazał się po rocznej przerwie, co może oznaczać ponowny, długi okres wyczekiwania na następny zeszyt... Regionaliści zawsze zastępowali w tzw. terenie uczelnianych naukowców, dając podstawę ich późniejszym

bocznymi bywa różnie. Zapamiętaliśmy też kierowców samobójców - zresztą brak uprzejmości na drogach to chyba jedyny element naszej podróży, który nam przeszkadzał.

Z pewnością trudno o obiektywny obraz kraju, który zwiedza się w ciągu niecałych dwóch tygodni. Z pewnością i nasze wrażenia skażone są sporą dawką subiektywnych odczuć. Zachwycaliśmy się naturalnym charakterem tego, z czym zetknęliśmy się w Transylwanii: z pięknymi krajobrazami, imponującą architekturą miejską, kościołami warownymi, Cyganami, furmankami, owcami przy drogach, sprzedawcami cebuli... Rumunia sprawiła na nas wrażenie kraju żyjącego swym naturalnym rytmem, nieskażonego duchem komercji wszechobecnej w innych zakątkach naszego kontynentu. Nachalna i wszechobecna reklama najlichszych nawet zakątków kraju, z jaką zetknęliśmy się na Węgrzech, tutaj właściwie nie istnieje. Brakowało nam trochę folderów, dobrych map czy profesjonalnie wydrukowanych przewodników turystycznych. Z drugiej strony, brak porządných publikacji pozwolił nam na pełne wykorzystanie możliwości naszego aparatu fotograficznego.

Ale naturalność Rumunii ma jeszcze inny wymiar – czysto materialny. To co nas zachwycało, niekoniecznie musiało w taki sam sposób oddziaływać na miejscowych. Bo czy mamy prawo wymagać, aby w imię naszego dobrego samopoczucia, Rumuni dalej orali swe małutkie poletka i wykorzystywali do tego konie? Czy dodający kolorytu rumuńskim drogom furmani nie woleli by przesiąść się do *pick-upów*? Czy wygodny dla nas brak hord turystów też tak bardzo cieszy Siedmiogrodzian? Czy nie woleliby zarabiać na nich setek lei, euro czy dolarów?

Warto odwiedzić Rumunię, warto zapuścić się na siedmiogrodzki szlak aby poznać niezwykle bogactwa tej krainy, ale też by przypomnieć sobie jak u nas wyglądało jeszcze paręnaście lat temu. Warto odwiedzić Siedmiogród i wyrobić sobie własne zdanie o tym przepięknym zakątku *Mitteleuropy*. Warto poznać ten region i odkrywać go na swój sposób – w każdym razie my z Annką jeszcze przed Oradeą postanowiliśmy tu wrócić. Jeszcze tyle przed nami....

**BARTŁOMIEJ „BART” ŚWIDEREK**



## **EKONOMISTOM POD ROZWAGĘ**

*Poniższa wypowiedź min. Zyty Gilowskiej winna pozostać w kanonie wiedzy ekonomicznej:*

*„Wzrost gospodarczy jest wtedy,  
kiedy ludność uwierzy,  
że jest wzrost gospodarczy”.*

*Uroczą świdniczanek miałem okazję usłyszeć w III PR, 12. czerwca br., mniej więcej o 16.32.*

*Być może owo ABC ekonomii ma związek z katolicyzmem – tam również „ludność” musi uwierzyć... Ale czy definicja Pani wicepremier ma cokolwiek wspólnego z jakąkolwiek **wiedzą**..?*

antyseksistowskie, antyrasistowskie i antynacjonalistyczne, ekologiczny sposób życia i egalitaryzm - lecz dziwnym trafem wszystko to powoduje nędzę i utrzymywane jest za pomocą skrajnego zamordyzmu. Nieco inny wariant rządów lewicy opisuje Marek Oramus – tu spełnia się wizja Witkacego i Europę podbijają Chińczycy.

Oryginalną koncepcję przedstawił Łukasz Orbitowski. Wedle niej władzę w Polsce obejmują neopoganie i tworzą państwo teokratyczne (na wzór irańskich ajatollahów czy afgańskich talibów), ale oparte na dawnych wierzeniach słowiańskich. Przy czym jego opowiadanie („Władca Deszczu”) w sposób zdecydowany wyróżnia się genologicznie, literacko – nie jest bowiem tylko antyutopią lecz raczej fantastyczną prozą w realiach antyutopii. Ma dzięki temu ciekawszą akcję i w ogóle łatwiejsze jest w lekturze, bo autor nie rozwleka części opisowych, rzeczywistość neopogańską rysując wyłącznie w tle.

Czego boją się autorzy drugiej grupy – sądzą, że fanatyzmu. Bo tylko on, gdyby dopuścić go do rządów, mógłby stworzyć podobne rzeczywistości. Z tym że większość pisarzy niepokoi fanatyzm polityczny, a Orbitowskiego – religijny.

Grupa trzecia, to prorocy ekonomicznego i społecznego rozwarstwienia. Tworzy ją w zasadzie tylko Jacek Dukaj. W opowiadaniu „CruX” przyszła Rzeczpospolita jest państwem, gdzie w gruncie rzeczy już nikt nie musi pracować (skutek postępu nanotechnologii), ale tylko niektórzy chcą, więc ludność dzieli się na ziomalstwa żyjące na koszt opieki społecznej i pławiących się w bogactwie panów. Na ten obraz Dukaj nałożył realia z czasów wojen kozackich, uzyskując dzięki temu efekt swoistej stylizacji sarmackiej, nadającej swoistość językowi i realiom obyczajowym przyszłego świata. Ale na pewno to nie tradycje szlacheckie go przerażają.

Grupa czwarta biała nad możliwym wynarodowieniem. W zasadzie w prawie wszystkich opowiadaniach zachodzi ono w mniejszym lub w większym stopniu (w ogóle typy koszmarów się mieszają), ale dwu autorów uczyniło z niego główny rys przyszłości. Maciej Żerdziński („Wyhoduj mnie, proszę”) upatruje jego przyczynę głównie w ekspansji kulturalnej Zachodu (jego bohater mówi charakterystycznym euroslangiem), a Barnim Regalica - w świadomej polityce antynarodowej władz europejskich i uciskającym narodowe większości prawodawstwie.

Tylko jeden utwór zbioru („Chłopaki, wszyscy idziecie do piekła” Andrzeja Ziemiańskiego) widzi przed Polską jaśniejsze perspektywy w polityce międzynarodowej, o ile można takimi nazwać rozgramianie pod flagą ONZ... Arabów na afrykańskiej pustyni.

Boją się więc wydrukowani w zbiorze „PL+50” polscy pisarze i nie tylko oni prawno-ustrojowych absurdów demokracji, rządów fanatyków, wynarodowienia i społecznego rozwarstwienia. A czego ja się boję?

Wszystkiego i niczego! Mam bowiem wrażenie, że losy zbiorowe tylko częściowo albo i wcale nie przekładają się na losy indywidualne.

Po pierwsze dlatego, że choć oczywiście łatwiej jest zginąć lub popaść w nędzę w czasach wojny i dyktatury, ale można też w spokoju, szczęściu i powodzeniu je przetrwać – znamy przykłady szczęśliwej samorealizacji jednostek, żyjących pod władzą najokrutniejszych nawet reżimów. Z drugiej zaś strony nieszczęście może spotkać człowieka w krajach i czasach dostatnich, szczęśliwych – katastrofy komunikacyjne i zamachy terrorystyczne świadczą o tym aż zbyt wyraziście. Żyję na świecie wystarczająco dużo lat, bym zdążył się przekonać, że żadna poprawa losu zbiorowego, ani żadna masowa tragedia (wyłączywszy ostateczną zagładę) nie jest w stanie w sposób konieczny poprawić czyjeś losu, bądź go pogorszyć. Zawsze można danej przez los szansy nie wykorzystywać, zawsze mieć można wyjątkowego pecha, przebywając wśród uszczęśliwionych ludzi.

Po drugie dlatego, że szczęście lub nieszczęście w dużej mierze bywa subiektywne. Ktoś jest bogaty, a pragnąłby autentycznej miłości. Młody i dziarski pan X, gardząc kochanką pożąda mądrości i władzy, a na przykład pani profesor XY budzi się co rano z gorzka świadomością, że zmarowała życie, bo te książki jej na nic, skoro nie ma pięciorga dzieci...

Po trzecie dlatego, że są takie wymiary szczęścia i nieszczęścia, które od społecznych uwarunkowań tylko częściowo zależą, jak wymiar fizjologiczny. Rozkosz, gdy trwa - zawsze jest miła, natomiast własne cierpienie



fizyczne, starość i śmierć nie podobają się nikomu, a to właśnie one (a przynajmniej ostatnia z tej trójcy) będą udziałem każdego.

W rezultacie, choć przyjmując jakieś założenia aksjologiczne możemy wymyślić pewien hipotetyczny rodzaj zorganizowania społeczeństwa, lepszy lub gorszy od panującego dzisiaj (a następnie zastanawiać się nad tym, czy we współczesnym świecie i Europie są lub będą warunki do jego wprowadzenia w życie) - to napotkamy zasadnicze trudności, pragnąc wskazać choć jedną, konkretną osobę, co do której możemy być pewni, że właśnie to a nie inne zorganizowanie społeczeństwa jej w czymś naprawdę pomoże i w niczym nie zaszkodzi.

Skoro nie mogę wskazać nikogo, nie mogę wskazać i na siebie. Siłą rzeczy, problem europejskiej przyszłości wydaje się być dla mnie osobiście (i nie tylko dla mnie) nieco abstrakcyjny – ciemność nadchodzi, nie opada mgła...

## WOJCIECH KAJTOCH



*Właściwie ten text Oskiego mógł poczekać, autor przygotował przecież kilka innych. Po pierwsze jednak szczecinianin „wrzucił” go także na [www.cia.bzzz.net](http://www.cia.bzzz.net), wzbudzając dyskusję, po drugie pamiętam marcową reakcję działaczy Stowarzyszenia Biedaszyby na gesty przyjaźni ze strony OZZIP Górnośląska. Do **Marka Cienciały** – jako animatora związku i wydawcy – ani **Grzesiek Wałowski** ani **Romek Janiszek** nie mieli żadnych „ale”. Jego praca dla ludzi wzbudza w Wałbrzychu szacunek.*

*Natomiast osoba **Piotra Ikonowicza** – jako człowieka z „innej bajki” – była dla biedaszybników nie do przyjęcia. Sami kiedyś próbowali lokalnego sojuszu z „Samoobroną RP” i drugi raz nie dadzą się politykom wpuścić w maliny. Toteż do współpracy nie doszło i pewnie nie dojdzie, póki jakakolwiek partia polityczna ma wpływ na działalność Inicjatywy Pracowniczej.*

*Jeśli liderzy OZZIP przejrzą równie szybko, jak koledzy ze Śląska Dolnego, jest szansa na wewnętrzny consensus. Inaczej IP czekają walki frakcyjne lub rozłam. Trochę to zbyt szybko...*

LELE

## WSPÓLNY WRÓG - ALE NIE WSPÓLNY CEL

Pojawienie się działaczy Nowej Lewicy - w tym ich lidera, Piotra Ikonowicza - w OZZ Inicjatywa Pracownicza, wywołało małą burzę wśród wolnościowych związkowców. Okazało się, że chcąc nie chcąc, doszło do zjednoczenia anarchosyndykalistów z lewicą partyjną; że od teraz działamy w jednej grupie, walczymy wspólnie. Wspólnota ta jest jednak czysto formalna i bardzo krucha. W tej perspektywie wydaje się sensowne rozpoczęcie publicznej debaty między anarchosyndykalistami a zwolennikami partii, zwłaszcza po opublikowaniu wywiadu w 13. numerze Biuletynu OZZIP. Do takiej dyskusji zachęca również tekst Antykapitalizm Nowej Lewicy. Czuję się zobowiązany do przedstawienia swoich racji i zabrania stanowiska w tym sporze.



*Pałac cygański koło Turdy. Fot.: Bart*

jak Siedmiogród stanowiący część monarchii austro-węgierskiej. Kiedy mówimy, że jesteśmy z Katowic, babcia przypomina sobie o relacjach telewizyjnych w grudniu 1981 roku właśnie z Katowic. Mówi o masakrze górników... Zdziwiał nas już nawet nie samo to, że reżimowa telewizja relacjonowała w Rumunii zbrodnie stanu wojennego, ale starsza kobieta w Targu Muresz, pewnie po krótkiej informacji sprzed dwudziestu pięciu lat, ciągle pamiętająca o kopalni „Wujek”! Obawiam się jednak, że mimo wszystko, nasza wiedza na temat Rumunii i jej dziejów, nawet tych najnowszych jest dużo skromniejsza, a do tego okraszona stereotypami.

Rozmowy w sympatycznym gronie mają to do siebie, że czas przy nich mija wyjątkowo szybko. Musimy pożegnać się z naszymi przyjaciółmi – jutro czeka nas długa droga do węgierskiego Miszkolca. Smaranda jeszcze tylko pomaga nam wykupić obowiązkową „Rovinię”, bez której nie można poruszać się po rumuńskich drogach (poprzedniej właśnie skończył się termin ważności) i zawozi do pensjonatu. To nasza ostatnia noc w Rumunii...

## Zamiast zakończenia

Rano wyruszamy około ósmej. Jedziemy prosto ku węgierskiej granicy, kierując z Targu Mures na Cluj a stamtąd na Oradeę. Żegnamy się z zielonymi pagórkami Karpat, z widokami owiec za szyba samochodu, z furmankami na drogach. Podróż powrotna sprzyja refleksjom – jak przez ostatnich dziesięć dni zmienił się nasz wcześniejszy obraz Rumunii, jakim zapamiętamy Siedmiogród i co zostanie w naszej pamięci?

Przed wszystkim w pamięci utkwiła nam niezwykła gościnność i zyczliwość miejscowych. Spotykaliśmy się z nią na każdym kroku – w pamięci utkwił nam parkingowy z Poiany Brasov, który ustalił nam pozataryfową stawkę parkingową (korzystną dla nas i dla siebie pewnie też).

Ludzie... są i bardzo biedni i bardzo bogaci. Tak jak wszędzie. Przeciętny przechodzień w Targu Mures, Braszowie czy Sibiu mógł nawet zresztą nie być ubrany w najmłodniejszy ciuch, ale na pewno dbał o czystość. Do dziś kręci mnie w nosie na wspomnienie zapachów, snujących się za eleganckimi przechodniami na Trandafirilorze w Targu Muresz. Czystość chyba wywarła na nas największe wrażenie. Widać, że kraj się zmienia, widać, że ludziom często brakuje środków na odmalowanie domów, na naprawę chodników czy remont obejść. Nadrabiają to jednak schludnością – w oknach czyste firanki, trawniki równo przystrzyżone, pobielone krawężniki, a w obejściu babulinki z miotłami. Nie zauważyliśmy śmieci, wałających się przy ulicach – być może z wyjątkiem przydrożnych parkingów – widoku dość przeciętnej częstotliwości w Polsce. Czystość często zaciera negatywne wrażenie, wywołane oczywistymi brakami w infrastrukturze – schludna zabudowa Mosny pozwoliła nam jakoś zrekomensować przytłapanie się błotem.

Ludzie, którzy kłębą się przy drogach (ma się wrażenie, że tu wszystko pulsuje i tętni życiem; mrowie ludzi, ludzie są wszędzie) dbają o czystość, a biedę w postaci często niemodnych już ubrań skutecznie maskują czystością i schludnością. Choć oczywiście inaczej wygląda wracający z pola rolnik, a inaczej mieszczuch, jak choćby Sabin w Cluj.

W zasadzie każdy dzień naszego pobytu w Siedmiogrodzie upłynął nam na przemieszczaniu się z jednego miejsca na drugie. Z naszych eskapad zapamiętaliśmy bardzo dobry stan nawierzchni głównych dróg – z tymi

- *To swego rodzaju zasłona dymna – ciągnie dalej Smaranda – mniejszości mają swoich przedstawicieli, w sumie kilkunastu posłów. Nie tworzą co prawda jakiegoś jednego klubu, ale de facto stają się zakładnikami rządu. Aby uzyskać jak najwięcej praw dla swych społeczności, zwykle głosują zgodnie z oczekiwaniami kolejnych władz, stając się jakby naturalnym zapleczem każdej kolejnej rządzącej partii czy koalicji.*

Jedyną grupą na tyle silną, aby móc zrezygnować z tego przywileju i próbować swych sił w normalnych wyborach, są Węgrzy. Reprezentująca ich partia – Demokratyczny Związek Węgrów w Rumunii (RMDSZ) ma dziś 22 posłów i 10 senatorów.

- *Węgrzy są społecznością na tyle silną, że spokojnie mogą wystawiać swoje listy w wyborach. Ale i oni są podzieleni, nie zapominaj, że Zsolt też kiedyś był posłem RMDSZ - zauważa Smaranda.*

Faktycznie, Zsolt był posłem RMDSZ do 2004 roku. Wówczas to doszło do rozłamu wewnątrz partii, a część tzw. „reformatorów”, zwolenników autonomii Siedmiogrodu, na czele m.in. ze słynnym pastorem Laszlo Tokesem założyła Narodową Radę Węgrów Siedmiogrodzkich i opuściła związek. Pytam więc Smarandę o ostateczne pomysły, dotyczące autonomii dla siedmiogrodzkich Węgrów.

- *Jestem zwolenniczką federalizacji Rumunii i jak najszerzej autonomii Siedmiogrodu – moja rozmówczyni nie pozostawia cienia wątpliwości co do swoich zapatrywań – jestem za autonomią dla całego Siedmiogrodu i wszystkich Siedmiogrodzian. Pomysł, o którym mówisz nie jest dobry, bo zakłada, że autonomia będzie wszędzie tam, gdzie lokalne węgierskie władze tak zdecydowały.*

Nie do końca rozumiem ideę, więc zaraz z odsieczą przychodzi Elek

- *W Targu mamy rumuńskiego burmistrza, więc tutaj nie byłoby autonomii i to pomimo faktu, że prawa połowa mieszkańców miasta to Węgrzy. Ale autonomię mógłby już ogłosić burmistrz Sovaty czy Reghinu, bo jest członkiem RMDSZ. I to wszystko w granicach jednego województwa...*

Faktycznie dziwna koncepcja. Coś jakby szachownica z autonomicznymi gminami w zależności od aktualnego układu politycznego. Z polityki szybko jednak przechodzimy na inne tematy – pytamy o to, jak żyło się przeciętnym Rumunom za czasów Ceausescu, czy są zadowoleni ze zmian, czy może tęsknią za czymś. Grad pytań, morze odpowiedzi – Rumuni mają najnormalniejsze w świecie aspiracje – chcą się bogacić, chcą dobrze żyć, a przy tym wszystkim zapatrzeni są w USA i... Polskę! Polska uważana jest tu za wzór, godny do naśladowania, kraj, który dla wielu Rumunów jest symbolem stylu i poziomu życia, jaki chcieliby osiągnąć. Trochę nas to uwielbienie dziwi...

- *Przecież Polska jest krajem ubogim, nasz poziom życia wcale nie jest wysoki, a większość problemów o jakich mówicie, znamy też w Polsce... - wtrącam nieśmiało.*

- *Chcielibyśmy, aby nasze problemy spowodowane były do skali waszych – uśmiecha się Elek – jesteście dużo zamożniejsi od przeciętnych Rumunów, macie dojrzałą demokrację, dobrze funkcjonujące organizacje pozarządowe, od kilkunastu lat jeżdżicie po połowie świata bez jakichkolwiek kontroli, podczas my jeszcze niedawno musieliśmy mieć wizy przy wyjeździe choćby do Czech!*

Smaranda tymczasem wspomina polskich turystów, którzy w latach siedemdziesiątych przywozili na czarnomorskie wybrzeże niedostępne tu kremy „Nivea” i papierosy „Kent”, wymieniane na miejscowe ręczniki i szminki. Dowiadujemy się też, że polskie tablice rejestracyjne na naszym samochodzie to coś w rodzaju współczesnego listu żelaznego – gdybyśmy mieli blachy węgierskie, być może jakiś nadgorliwy policjant starałby się uprzykrzyć nam życie, gdyby nasze auto było zarejestrowane gdzieś w starej Unii, może nawet próbowałby wymóc łapówkę za jakieś przewinienie. Tablice z symbolami „PL” budzą natomiast powszechną sympatię i wyrozumiałość, nawet przy drobnych wykroczeniach drogowych. Zastanawiam się, na ile ta miłość jest odwzajemniona i czy aby w naszym stosunku do Rumunów nie grzeszymy pychą.

Kiedy Smaranda podaje kolację, dołącza do nas jej matka, kobieta w dość podeszłym wieku, a przy tym niezwykle trzeźwym umyśle. Kiedy dowiaduje się, że przyjechaliśmy ze Śląska, opowiada o kuzynie swego dziadka, który gdzieś w początkach dwudziestego stulecia wywedrował na austriacki Śląsk, wówczas podobnie

Piotr Ikonowicz i część działaczy NL propagują ideę budowania szerokiego ruchu społecznego opartego na szerokim porozumieniu grup antysystemowych. Czytamy: „Dlatego nie rezygnując z własnej odrębności programowej i organizacyjnej, zdecydowaliśmy się skierować nasze wysiłki na tworzenie nie tylko partii (NL), ale przede wszystkim szerokiego ruchu, frontu walki z kapitalizmem. Anty-kapaliści, komuniści, socjaliści, anarchiści, alterglobaliści, pacyfiści, ekolodzy, feministki, Łączcie się!” Jednocześnie to wezwanie poprzedza uwaga, że NL czeka poważna i ciekawa dyskusja z anarchistami. Tej dyskusji się nie boimy, tą dyskusję czas zacząć!

Anarchiści mają zawsze ten problem, że z powodu braku znajomości doktryny przez społeczeństwo, jej nieobecności na płaszczyźnie publicznej (nieobecność w systemie nauczania od podstawowego po wyższy, blokada dostępu do mediów, szerokiej propagandy antyanarchistycznej od sprzedajnych intelektualistów po masowo produkowane filmy akcji...), każdy może mówić o anarchizmie, co mu się żywnie podoba i pomimo nieznajomości tematu, być wybitnym krytykiem wolnościowego socjalizmu. Do takich krytyków można zaliczyć Piotra Ikonowicza.

„My chcemy systemu sprawiedliwości społecznej, oni, anarchiści, braku systemu, anarchii”, pisze w tekście *Antykapitalizm Nowej Lewicy*. W wywiadzie zamieszczonym w 13. numerze Biuletynu zaś znajdziemy cytaty z bolszewickich bryków, gdzie anarchosyndykalizm jest „be” bo: maksymalizuje cel końcowy bez wytyczenia programu przejściowego; nie uwzględnia roli państwa; redukuje się do walk o lepsze pensje, a nie prowadzi do zmiany systemu. Ogólnie to anarchosyndykalisci jawią się jako idealisci, błękitne ptaki, którzy chcą dobrze, ale których robotnik raczej nie zrozumie. Jedynym prawdziwym stwierdzeniem w wypowiedzi Ikonowicza na temat anarchosyndykalizmu jest przyznanie się, że nie jest znawcą tematu. Nie przeszkadza to jednak liderowi NL ustawiać wroga tak, by łatwo było go znokautować. Tylko, że anarchizm nie jest karłem, jakim chce go widzieć.

## ANARCHIA, CZYLI CHAOS, ZNISZCZENIE I DOBROBYT DLA WSZYSTKICH

Jedno z większych nieporozumień, nieporozumień potocznych, odnośnie anarchizmu, dotyczy braku wizji struktur przeszłego społeczeństwa. Nie byliśmy, nie jesteśmy i nie będziemy za chaosem, bezwładem czy światem niczym z filmu „Mad Max”! Chcemy po prostu „instytucji na miarę człowieka”, gdzie głos każdego będzie tak samo ważny i gdzie każdy będzie mógł brać udział w kolektywnym kształtowaniu rzeczywistości. O tym piszemy od dawna, toteż nie ma sensu się powtarzać. Wystarczy sięgnąć do źródeł – tego Ikonowicz nie zrobił. Co świadczy o niepoważnym traktowaniu przeciwnika/partnera.

Z kwestią organizacji wiąże się nasz stosunek do państwa. Posiadamy dokładną analizę państwa, tylko, że nie socjaldemokratyczną. Uważamy, iż państwo służy kapitalistom. Raz, broni własności prywatnej środków produkcji: rozbijanie strajków, okupacji i uniemożliwianie przy pomocy policyjnych represji przejmowania fabryk, do tego więzienia i prawo, które izolują co bardziej radykalnych bojowników o sprawiedliwość. Dwa, poprzez podatki uspołecznia koszty prywatnych przedsiębiorstw.

Państwo to też odrębna instytucja, która jest pasożytem na łonie społeczeństwa. Elity polityczne, oprócz służenia kapitałowi, posiadają własne interesy. Tym celem jest utrzymanie się u władzy i czerpanie zysków oraz licznych przywilejów z faktu „bycia reprezentantem”. Ekskluzywne kolekcje, wakacje w egzotycznych krajach, pałace prezydenckie, diety i „godna reprezentacja” są przejadaniem pieniędzy, wypracowanych przez robotników. Tym samym elity polityczne okradają ludzi pracy tak samo jak kapaliści.

Nie miejsce tutaj na szczegółową analizę państwa, której poświęcono sporo literatury, dostępnej również w języku polskim. Można jeszcze nadmienić, że sama struktura państwa sprawia, iż nie ma mowy o jego reformie. Państwo musi zostać zastąpione inną formą organizacji. Zostać zniszczone, zdruzgotane.

Oczywiście istnieje grupa lewicowców, która opowiada się za państwem socjalnym, wskazując, że istnienie państwa socjalnego poddaje w wątpliwość anarchizującą analizę państwa (marksowską też!). Nie dostrzegają oni, że państwo socjalne pojawia się w określonych warunkach historycznych, jako odpowiedź na zagrożenie rewolucją, często opiera się na wyzysku robotników z krajów peryferyjnych oraz nie prowadzi do oswobodzenia pracowników spod dyktatury kapitału, a jedynie podwyższa pensje. Zabezpieczając w miarę przyzwoite warunki egzystencji ludziom pracy, zabezpiecza jednocześnie trwanie niesprawiedliwego i więziennego systemu. Pracownik nie odzyskuje kontroli nad swoim życiem, nad wykonywaną pracą...

## KTÓRA DROGA WEDŁUG PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI ZAPROWADZI DO WOLNOŚCI?

Dziwi mnie również stwierdzenie, że anarchosyndykalisci nie przedstawiają sposobu osiągnięcia nowego systemu i że redukują swoją walkę do żądań płacowych. Żeby zrozumieć nasze stanowisko, należy pojąć specyfikę wolnościowego socjalizmu.

Nastanie sprawiedliwego i wolnościowego społeczeństwa jest uwarunkowane w dużym stopniu od drogi, jaką się idzie, od sposobu jego wprowadzania. Przyczyną odejścia od ideałów socjalistycznych, zaprzepaszczenia rewolucji w Rosji, było między innymi, jak wskazywała Róża Luksemburg, wprowadzenie demokracji pracowniczej bez demokracji, próba zadekretowania odgórnie zmian, które powinny wykluczać się oddolnie i być tworzone przez zainteresowanych... Anarchosyndykalisci wskazują na oddolne organizowanie się pracowników i wykluczenie nowego społeczeństwa w bezpośredniej walce z państwem i kapitałem. Demokracja, samoorganizacja, solidarność i wartości prospołeczne, muszą pojawiać się od razu, być pielęgnowane w związkach zawodowych, w codziennym życiu i potyczkach.

Nasza droga różni się zdecydowanie od ścieżek, które przemierzają partie. Partia walczy w imieniu ludzi, ona tworzy program, ustala strategię, a masy są jej potrzebne jako mięso armatnie – i tylko o tyle je uznaje. Kiedy partyjniacy mówią o tworzeniu ruchu społecznego, mają na myśli zbieranie elektoratu. Wystarczy spojrzeć na działania Polskiej Partii Pracy, która doskonale wie, że nie zaistnieje w świecie polityki, jeśli nie zgromadzi sobie poparcia poprzez bezpośrednią walkę. Walka ta jest niestety tylko instrumentem, a nie celem samym w sobie. Również Nowa Lewica nie prezentuje niczego innego. Ich opowieści o tworzeniu ruchu społecznego, są zapowiedziami wyborów. Może nie tych, ale już następnych – kto wie. Musi być reprezentant, musi być ktoś, kto walką pokieruje i ktoś kto wie, jak zmienić system – oto zasady działania partyjnego!

Anarchiści wskazują, że mamy tutaj do czynienia z myśleniem hierarchicznym, utrwalającym podziały społeczne i odtwarzającym kapitalizm. Droga Partii prowadzi do wyłonienia się elity politycznej w rodzaju bolszewików, którzy będą wiedzieli lepiej, czego chcą masy. Znowu szampan będzie pity przez lud ustami jego przedstawicieli. Poza tym, Droga Partii, wyłaniając elitę rewolucyjną, gasi zaangażowanie społeczne, zabija ich spontaniczność i kreatywność: w ten sposób nie narodzi się człowiek socjalizmu, a jedynie burżuazyjny obywatel.

Anarchosyndykalisci chcą zniszczyć kapitalizm i państwo, nie startują wyborach, nie zabiegają o głosy, nie korumpują społeczeństwa – oni są ze społeczeństwem. Pojawiają się w miejscu walki jedynie służąc radą czy pomocą, wskazując na dostępne alternatywy. Co się będzie działo, zależy już od samych robotników. Organizując zaś związki zawodowe nie tylko walczą o lepsze warunki pracy, ale starają się tworzyć kontr-organizację, mogącą zastąpić obecny porządek społeczny, nie tylko wnoszącą postulat podniesienia pensji, ale domagającą się kontroli nad sposobem produkcji.

spowodowało wybudowanie Kanału Dunaj-Morze Czarne. Nieodwracalne skutki, nie tylko w krajobrazie, wywołała rabunkowa polityka leśna – do dziś uwagę przyjezdnych zwracają nagie pagórki i wzniesienia, gdzie trudno wypatrzyć jakieś gęstsze skupiska drzew. Rumunia jest zdevastowana, zniszczona, zaniedbana, zaś sami Rumuni wygłodzeni i zziębnięci. Reżim dogorywa powoli – tajemnicą poliszynela jest podsycanie przez dawnych funkcjonariuszy systemu, nastrojów nacjonalistycznych w Siedmiogrodzie, gdzie w lutym i marcu dochodzi do krwawych starć między Rumunami i miejscowymi Węgry.

Ale Rumunia się zmienia – Rumuni zdają sobie sprawę, z jak niskiego pułapu startują i ile przed nimi problemów. Tym bardziej, że demoludy się rozpadły i podzieliły na dwie ligi – wyszehradzką ekstraklasę i resztę...

## Dom z ogrodem

Annka to typ miejski – mieszkanie w kamienicy to coś, o czym marzy. Ja przeciwnie – kawałek własnego podwórka i dom to mój typ. Spieranie się na temat wyższości jednego rozwiązania nad drugim weszło nam już w krew i jak na razie żadne z nas nie zdołało przekonać drugiej strony do swej racji. Dopiero w domu Eleka i Smarandy okazało się, że można wypracować model pośredni, a raczej model idealny.

Dom naszych przyjaciół okazał się właśnie wspaniałą kombinacją preferowanych przez nas rozwiązań. Stojący praktycznie w samym centrum miasta, piętrowy budynek z wielkimi oknami okazał się bowiem kryć za wiodącym do jego wnętrza portalem sporych rozmiarów podwórko i wspaniały ogród z licznymi drzewami owocowymi. Wystarczyło tylko, że zamknęła się za nami brama, abyśmy poczuli się jak w rajskim azylu, pełnym zieleni, po którym biegały rozbawione charty właścicieli. W tym momencie nasze spory: kamienica czy dom straciły rację bytu. Zachorowaliśmy na taki właśnie solidny dom, majestatyczny z zewnątrz, z wielką dębową bramą, cichy, spokojny z tonącym w zieleni obejściem. Ustał miejski gwar, nie dochodził tu odgłos samochodowych silników – poczuliśmy się jak na wsi, choć przecież cały czas znajdowaliśmy się w obrębie ścisłego centrum Targu Mures. Przy czerwonym winie z Banatu (stamtąd pochodzi Elek) i talerzu miejscowych serów rozmawialiśmy z naszymi gospodarzami na wszelkie możliwe tematy.

- Rumunia nie jest przygotowana na członkostwo w Unii Europejskiej – zaczął Elek – mamy ciągle problemy z korupcją, nie zreformowaną strukturą administracyjną i sądowniczą, choć to warunki sine qua non członkostwa.

Elek i Smaranda nie są jednak przeciwnikami integracji – wręcz przeciwnie – od lat działali na rzecz wejścia Rumunii do struktur unijnych widząc w tym szansę na rozwój kraju.

- Wierzymy, że coś się zmieni. Rumunia będzie częścią większej struktury, będzie musiała jakoś nadrobić wszelkie zaległości, choćby w zakresie poszanowania praw mniejszości narodowych. – dodaje Smaranda.

Jeszcze z wcześniejszej wizyty w Cluj pamiętam, że każda z oficjalnie uznanych mniejszości narodowych ma z urzędu zagwarantowane jedno miejsce w rumuńskim parlamencie.



Autor ze Smarandą i Elekiem.

Fot.: Annka

makiawelicznej żony Eleny, ograniczono do dwóch godzin dziennie; sklepy zamykano około 17.00, aby zaoszczędzić na energii – w zasadzie wszystko, co było cenne w Rumunii, przeznaczano na eksport. Tkwiąc w obłędzie rumuńskie władze wprowadzają przepis surowo karzący wszystkich tych, którzy „gromadzą zapasy żywności na więcej niż trzy dni”. Po mieszkaniach zaczynają grasować trójki kontrolerów, plądrujące i tak skromnie zaopatrzone lodówki. Wkrótce okaże się, że państwo chce roztoczyć jeszcze większą „opiekę” nad swymi obywatelami – obowiązkowej rejestracji podlegają ... domowe srebra, stare zastawy, porcelana... Wielki Brat czuwa!

Jednocześnie brutalnie tłamszona jest opozycja – jej przedstawiciele więzi się, zsyła do odległych i zapomnianych wsi, wykorzystuje w kopalniach, na placach budów... morduje. Rozpoczynają się prace przy systematyzacji – wyruszają pierwsze buldożery, mające zrównać z ziemią w pierwszej kolejności wsie tradycyjnie niepewnych Sasów i Węgrów. Trwa bezceremonialny proces niszczenia zabytkowych dzielnic Bukaresztu i budowy Pałacu Ludu (dziś parlamentu) – drugiej co do wielkości po Pentagonie budowli świata. Wszystko to w zubożałym kraju głodzonego społeczeństwa. Ceausescu chce być traktowany jako mąż stanu – chce stanąć na czele państw niezaangażowanych, chce mediować między Izraelem i OWP, przyjaźni się z zairskim tyranem Mobutu, jest pod wrażeniem masowych defilad, organizowanych przez Kim Ir Sena. Porywa go monumentalizm – kiedy w demoludach zaczyna się proces korozji systemu, on przykręca śrubę i tak już umęczonemu społeczeństwu.

Ale Zachód nie zwraca na to uwagi. Rumunia rzetelnie spłaca swoje długi co do centa, a kto lubi wytykać coś dłużnikowi, który pewnie i nie jest kryształowy, ale wywiązuje się ze swych zobowiązań? Zresztą sam Ceausescu wie jak podejść rządy EWG i USA – jeździ, odwiedza, jako jedyny przywódca socjalistyczny (obok Chin i Jugosławii) w 1984 roku wysyła ekipę na olimpiadę w Los Angeles. Rumunia uzyskuje klauzulę najwyższego uprzywilejowania w handlu z USA – podczas gdy wolne społeczeństwa zachłystują się „Solidarnością”, głos opozycji rumuńskiej jest tu w zasadzie niesłyszalny.

Trwa handel żywym towarem – do Izraela wyjeżdżają tutejsi Żydzi, sprzedani - podobnie jak większość Sasów do RFN - za twardą walutę. Kiedy w 1987 roku reżim krwawo pacyfikuje manifestację robotników w Braszowie, tylko nieliczni dowiedzą się o tym fackie. Zresztą kto miałby przekazywać jakiegokolwiek informacje na temat tego, co dzieje się naprawdę w Rumunii, skoro obywateli tego kraju obowiązuje zakaz kontaktów z cudzoziemcami, a za niewinną rozmowę z zagranicznym turystą, pytającym o drogę, można trafić do więzienia?

Sytuacja zmienia się dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych wraz z odwilżą w innych KDL-ach. Węgry coraz głośniejsze domagają się poszanowania praw swojej mniejszości w Rumunii, przeciwko planom systematyzacji, a co za tym idzie zniszczeniu saskiego dziedzictwa, zaczyna protestować rząd RFN. Powstaje system „miast bliźniaczych” – mieszkańcy zachodu biorą w obronę zabytkowe miasta i wsie w Rumunii, wysyłając setki czy wręcz tysiące listów do władz rumuńskich i własnych krajów z protestami przeciwko postępującej dewastacji. Z kraju ucieka słynna gimnastyczka Nadia Comaneci, trwają ucieczki Węgrów... w końcu świat dowiaduje się o kolejnym zmniejszeniu racji żywnościowych. Kiedy na Węgrzech i w Polsce odbywają się pierwsze demokratyczne wybory, Ceausescu wzywa do zbrojnej interwencji... jego dni są jednak policzone. We wrześniu 1989 z dumą ogłasza, że kraj spłacił swój cały dług zagraniczny – Zachód przestaje się więc nim interesować. Coraz bardziej izolowany Ceausescu przeżywa szok, gdy zorganizowany przez niego grudniowy wiec poparcia dla siebie samego przeradza się w antyrządową demonstrację. Trwają już zamieszki w Timisoarze i kilku miastach Siedmiogrodu – do miana bohatera urasta pastor Laszko Tokes. Rewolucja ogarnia już praktycznie cały kraj – Ceausescu zostaje obalony i 22. grudnia po szybkim i pobieżnym procesie stracony przez pluton egzekucyjny. Bilans rządów geniusza jest zatrważający: obok Albanii, Rumunia ma najniższy w Europie wskaźnik długości życia, przy najwyższych wskaźnikach umieralności niemowląt, zakażeń wirusem HIV oraz chorobami wenerycznymi. Społeczeństwo jest niedożywione – szacuje się, że pod koniec 1989 roku Rumuni odżywiali się na poziomie społeczeństw Afryki subsaharyjskiej. Spustoszenie w środowisku naturalnym jest przeogromne – wystarczy wspomnieć opisaną już wyżej Copsa Micę, czy spustoszenie, jakie w delcie Dunaju

## STRZELAJ JANEK! ALE DO KOGO?

Nie jestem pewien, czy możliwe jest stworzenie rzeczywistej wspólnej płaszczyzny działań. Wydaje się, że nie tylko cel mamy inny, ale i wroga.

NL Ikonowicza dąży do udziału w państwie i z tego, co zauważyłem (nie znalazłem na ich stronie programu partii), życia społecznego bez państwa nie jest w stanie sobie wyobrazić. Tym samym utrwałać będzie podział klasowy społeczeństwa, niewolę robotników, którzy przywiązani do komputera, szlifierki, czy innej maszyny wykonywać będą polecenia przełożonych i utrzymywać elity, choćby i rewolucyjne. Jeśli się nie mylę, to są oni takimi samymi wrogami, jak PPP czy PO. Są wrogami demokracji pracowniczej.

OSKAR SZWABOWSKI



## Reforma monetarna, czyli jak powinien działać narodowy system pieniężny

### SKĄD SIĘ BIORĄ PIENIĄDZE?

Kiedy tylko zabieramy się za studiowanie zasad rządzących pieniądzem, rychło orientujemy się, jak mało wiemy na temat prawdziwych zdarzeń, związanych z historią pieniądza. Ekonomia jest dyscypliną niezwykle ograniczoną z uwagi na ogrom niesprawdzonych założeń i nieweryfikowalnych dogmatów. Jej najdłużej utrzymująca się doktryna zakłada, że istnieje coś takiego, jak „rynek”, na którym operuje „niewidzialna ręka”, która sprawia, iż wszystko działa tak, jak powinno.

W rzeczywistości, ekonomia funkcjonuje zgodnie z zasadami, według których została zaprojektowana i zadekretowana. Jeśli została zaprojektowana tak, aby napełniać bogactwem ręce monetarnych kontrolerów, temu właśnie celowi będzie służył „rynek” oraz jego „niewidzialna ręka”. Jeśli zaś zaprojektuje się ją w ten sposób, aby wspierała „ogólny dobrobyt”, czyli zgodnie z preambułą Konstytucji Amerykańskiej, wówczas „rynek” oraz jego „niewidzialna ręka” będą działać w tym właśnie kierunku.

Niestety, kierunek naszej marszrucie nadają dziś monetarne elity, tak więc one odnoszą korzyści i zgarniają zyski. To ich „niewidzialna ręka” obsypuje bogactwem świata.

Dzieje się tak na skutek procesu tworzenia kredytu przez banki. O ile w dziewiętnastym wieku występowały w obiegu inne prócz kredytu formy pieniądza, takie jak znaczne ilości bilonu, certyfikaty mające pokrycie w srebrze, czy emitowane przez rząd obligacje (*greenbacks*), tak obecnie niemal wszystkie pieniądze znajdujące się w obrocie pochodzą z pożyczek udzielanych przez instytucje finansowe osobom indywidualnym lub przedsiębiorstwom.

Kiedy udzielana jest pożyczka, księguje się ją jako zobowiązanie w księgach banku. Gdy jest ona spłacana, zobowiązanie jest kasowane. W obecnych warunkach, gdy obsługę banków prowadzi się za pomocą systemów

komputerowych, wszystkie transakcje są z natury rzeczy dygitalizowane. Bank zachowuje dla siebie odsetki od pożyczki, pokrywające łączne koszty administracyjne oraz zysk. Pieniądze, które są pożyczane, nie istniały nigdy wcześniej.

Pieniądze stworzone jako kredyt przyjmują wiele form zależnych od tego, na jaki cel zostały przeznaczone. Pewna część kredytów jest wykorzystywana przez przedsiębiorstwa oraz osoby indywidualne jako źródło inwestycji, które mają przynieść zysk przekraczający to, co należy się bankowi z tytułu zwrotu kredytu wraz z odsetkami. Jeśli pieniądze są przeznaczane na zakupy konsumpcyjne, wówczas indywidualny konsument musi zwrócić pożyczkę ze swoich przyszłych dochodów. W tych przypadkach, gdy pożyczkobiorca bankrutuje i nie spłaca pożyczki, pieniądze te po prostu pozostają w obiegu, choć zostały wydane.

Na nieszczęście, wielkie ilości kredytu używane są głównie w celach spekulacji, a nie po to, aby zasilać sektor produkcyjny. Dotyczy to papierów wartościowych, kupowanych pod zastaw przez fundusze giełdowe, gdzie fundusz może uzyskiwać zyski nawet wtedy, gdy wartość inwestycji idzie w dół. Kredyt tworzony przez bank jest w takich wypadkach niewiele więcej wart, niż żeton w kasynie.

Innym rodzajem pożyczek są fundusze hipoteczne oraz różne typy inwestycji polegających na łączeniu lub wykupywaniu całych przedsiębiorstw, gdzie drapieżcy niszczą strukturę pochłanianej firmy, obniżając koszty i sprzedając jej majątek, a następnie spłacają bankowe pożyczki przed zrzuceniem biznesu na czyjeś inne barki.

Najważniejszą sprawą do uchwycenia w bankowości jest to, że pieniądze, które są wprowadzane do obrotu jako siła nabywcza, muszą w ostateczności być zwrócone jako spłata pożyczki. Oto czemu miary monetarne Rezerwy Federalnej<sup>1</sup> - M1, M2 i M3 - są pozbawione znaczenia, gdyż w stosunku do większości tych pieniędzy występuje czyjeś roszczenie.

Tak zostaliśmy nauczeni, że spłata kredytów jest czymś właściwym. Naturalnie, jeśli pożyczamy coś, powinniśmy spłacić nasz dług. Znamienną rzeczą jest jednak to, iż pożyczone pieniądze, które służą do zapłaty za pracę, towary, najem itp., stają się składnikiem cen żądanych za towary i usługi. Jednak, gdy pieniądze te powracają do banku w celu spłaty pożyczki, ich siła nabywcza znika. Ani bank, ani ekonomiści nie zwrócili nigdy uwagi na fakt, iż proces ten powoduje chroniczny deficyt siły nabywczej na rynku, i że deficyt ten musi być uzupełniony o kolejne pożyczki, przynoszące zysk bankom. Gospodarka staje się w ten sposób kieratem, który pożyczkobiorcy muszą ciągle popychać do przodu, aby uzyskać środki wystarczające do przeżycia.

Tak więc system, który jest oparty na popularnym porzekadle, że należy zwracać, co się pożyczyciło, cały jest wadliwy. Powodem wadliwości jest to, iż w większości przypadków indywidualni konsumenci nie powinni nigdy musieć pożyczać. Jakoś nigdy nie pytamy, dlaczego przy takiej obfitości, jaka jest możliwa dzięki współczesnej nauce i technologii, ludzie muszą pożyczać pieniądze na procent dla zaspokojenia własnych, podstawowych potrzeb życiowych - domu, samochodu, wydatków na gospodarstwo, edukację itd.

Konstatujemy więc, że system finansowy działa wbrew temu, co powinno być prawdziwym celem pieniądza - służeniem ludziom jako bilet umożliwiający zakupy produktów niezbędnych do przeżycia lub realizacji innych pragnień, gdy te podstawowe zostały już zaspokojone. (cdn.)

**RICHARD C. COOK**

Tłum. z j. ang. KRZYSZTOF LEWANDOWSKI

<sup>1</sup> Rezerwa Federalna jest bankiem centralnym USA, odpowiednikiem NBP, lecz o statusie *quasi*-prywatnym. [przyp. tl.]



*Copsa Mica - smutna spuścizna  
Ceausescu. Fot.: Bart*

rodziny *a la Nicolae*. Już od roku 1966 w Rumunii obowiązuje praktycznie całkowity zakaz stosowania środków antykoncepcyjnych, nielegalna jest też aborcja (z wyjątkiem kobiet powyżej 42 roku życia), a bezdzietni powyżej 25 roku życia płacą specjalny podatek. Kobiety w fabrykach co miesiąc badane są przez ginekologów – a raczej nie badane tylko sprawdzane pod kątem możliwości rozrodczych, bo opieka ginekologa niewiele ma tu wspólnego z medycyną. Ceausescu w swej chorej wyobraźni widzi bowiem Rumunię wielką, przemysłową z licznym i młodym narodem. Coraz częstsze stawały się więc przypadki zarażenia chorobami wenerycznymi, pojawiło się podziemie aborcyjne oraz nieznanne dotąd zjawisko porzucania noworodków. Fatalny poziom opieki zdrowotnej, w tym zakaz przeprowadzania jakichkolwiek testów na obecność wirusa HIV, doprowadził do niespotykanej na skalę europejską ekspansji AIDS w latach osiemdziesiątych. Jednocześnie poprzez manipulowanie przy statystykach fałszowano obraz rzeczywistości: oficjalnie HIV w Rumunii nie było (nie przeprowadzano testów, bo i po co), niemowlęta rejestrowano dopiero po miesiącu, dzięki czemu wskaźnik ich umieralności był wyjątkowo niski, ludzie powyżej 60. roku życia w zasadzie pozbawieni byli opieki medycznej, więc wskaźniki nakładów na służbę zdrowia w przeliczeniu na mieszkańca też były nienajgorsze. Stopniowo, już od połowy lat siedemdziesiątych zaczęła pogarszać się sytuacja gospodarza kraju – wierzyciele zaczęli domagać się zwrotu zaciągniętych długów i to z sowitymi odsetkami. Szacuje się, że w latach 60. i 70. Rumunia zadłużyła się na około 13 miliardów dolarów, do których doliczyć należało odsetki. Powoli zaczęto wprowadzać racjonowanie żywności i innych dóbr – pojawiły się okresowe przerwy w dostawach prądu, gazu i wody. Ale najgorsze miało dopiero nadejść...

Z początkiem lat osiemdziesiątych „Geniusz Karpat”, jak zwykły nazywać rumuńskiego dyktatora tutejsze media, postanowił spłacić cały zagraniczny dług kraju i już nigdy więcej go nie zadłużyć. Praktycznie całą produkcję nakierowano więc na obsługę zagranicznego zadłużenia – lata osiemdziesiąte to całkowita reglamentacja wszystkiego, co tylko się da. Codzienne życie Rumunów sprowadziło się do walki o przetrwanie – przed pustymi sklepami ustawiały się kilometrowe kolejki. Racje żywnościowe, których zresztą i tak państwo nie było w stanie zapewnić, w 1988 roku ograniczono do 10 jajek i pół kilograma mięsa miesięcznie oraz pół bochna chleba na dzień. W kraju, który mógłby stać się energetycznym zapleczem Europy, wprowadzono zakaz poruszania się prywatnych samochodów zimą, do minimum ograniczono dostawy prądu, a zimą ciepła – jedna dwudziestopięciowatowa żarówka na pomieszczenie oraz temperatura, nie przekraczająca 13 stopni Celsjusza to rumuńskie standardy lat osiemdziesiątych. W kuchenkach gazowych pracować mógł tylko jeden palnik, ciepła woda to rarytas dostarczany raz lub dwa w tygodniu przez godzinę – praktycznie więc niedostępny. Program telewizyjny, sprowadzający się i tak do relacjonowania kolejnych „ważnych” osiągnięć Ceausescu i jego

## Dzień dobry, Transylwania (7)

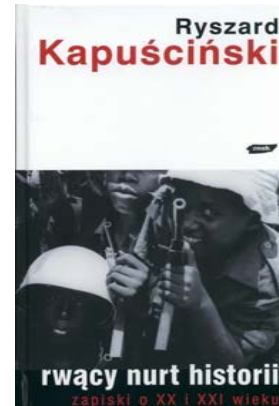
### Geniusz Karpat

Kolejny dzień upływa nam na spokojnych spacerach po Targu Mures. We wtorek chcemy trochę wypocząć przed czekającym nas w środę maratonem przez pół Siedmiogrodu i wschodnie Węgry do Miskolca, gdzie przenocujemy przed definitywnym powrotem do domu. Mamy więc dzień relaksu – na wieczór jesteśmy zaproszeni do domu Smarandy i Eleka na kolację przy lampce wina. Nasi przyjaciele są ludźmi dość zasłużonymi dla rozwoju demokracji w Rumunii. Elek to dawny opozycjonista, który w komunistycznych kazmatach przesiedział kilkanaście lat, zaś Smaranda była założycielką jednego z pierwszych rumuńskich NGO's-ów, powstałych tuż po rewolucji 1989 roku, a także ambasadorem tego kraju w Finlandii w czasach rządów prozachodniego prezydenta Constantinescu. Chcielibyśmy jak najwięcej dowiedzieć się o najnowszych dziejach Rumunii – kraju, o którym krążą najprzeróżniejsze mity i legendy, potęgowane przez relacje naszych podróżników z lat osiemdziesiątych i wczesnych dziewięćdziesiątych. Chcemy się dowiedzieć, jak wyglądało życie przeciętnych Rumunów w czasach dyktatury – żeby móc zadać sensowne pytania czytamy jeszcze naprędce jakieś angielskie opracowanie, dotyczące sytuacji Rumunii w latach rządów komunistycznych.

Czytaliśmy już o zainstalowaniu się komunistów w kraju i zmuszeniu do emigracji króla Michała w grudniu 1947, coś niecoś przeczytaliśmy o walkach frakcyjnych wewnątrz partii komunistycznej (schemat podobny jak w Polsce – miejscowi eliminują internacjonalistów, Żydów itp.) – interesuje nas jednak nie tyle sam mechanizm władzy, co dzień powszedni mieszkańców kraju. Dochodzimy więc do roku 1965, kiedy to na czele partii staje Nicolae Ceausescu – głowa państwa od 1967 roku. Chyba do dziś najbardziej rozpoznawalny władca Rumunii. Ale po kolei ...

Po latach arcystalinowskiego reżimu Gheorghe Deja władze powoli przejmują jego protegowany Nicolae Ceausescu - przedstawiciel ekipy miejscowych komunistów, zwolennik „rumuńskiej drogi do socjalizmu”. Końcówka lat sześćdziesiątych to lekkie poluzowanie krępujących kraj więzów systemu – w sklepach zaczyna pojawiać się trochę więcej towaru, a Rumuni wydają się łapać oddech. Sam Ceausescu pewnie uznany byłby za kolejnego ponurego pierwszego sekretarza zza żelaznej kurtyny, gdyby nie dość szczęśliwy dla niego splot wydarzeń. Na Kremlu władzę objął Leonid Breżniew, który reprezentował isticie stalinowską wizję „zacieśniania przyjaźni między narodami” – w demoludach znowu zaczęto przykręcać śrubę. Ambitny (choć czy to najwłaściwsze słowo?) Ceausescu, nieufny wobec Sowietów i chcący realizować własną politykę coraz częściej zaczął podważać wiodącą rolę ZSRR w bloku państw socjalistycznych. Kiedy rozpoczęła się „praska wiosna”, Rumunia jako jedyny kraj bloku sowieckiego, odmówiła udziału w interwencji, praktycznie wycofując się ze struktur Układu Warszawskiego. Rumunia, w przeciwieństwie do reszty państw bloku, nie zerwała też stosunków z Izraelem po 1967 roku. W oczach zachodu rumuński gensek urósł do miana nowego Tity – komunistycznego reformatora, zdolnego przeciwstawić się Związkowi Radzieckiemu. Jednocześnie popularność zaczął zyskiwać w samej Rumunii – już na samym początku swych rządów objechał okręgi węgierskie, obiecując Madziarom poszanowanie ich praw, w tym prawa do autonomii; podniósł się standard życia, dzięki czemu odkurzacze, lodówki czy telewizory stały się dobrami nieomal powszechnymi, a sam przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych uważa się za najbardziej liberalny i pomyślny w dziejach komunistycznej Rumunii. Zachód postanowił wspierać finansowo rumuńskiego dyktatora, który zaczął realizować coraz śmielsze i w swej śmiałości absurdalne pomysły gospodarczo-społeczne. Opanowany wizją przekształcenia Rumunii w industrialną potęgę,

Richard C. Cook to autor książki *Challenger Revealed: An Insider's Account of How the Reagan Administration Caused the Greatest Tragedy of the Space Age*. Jest emerytowanym analitykiem federalnym, a jego kariera zawodowa obejmuje posady w Komisji Społecznej, FDA, Białym Domu za prezydentury Cartera, NASA, oraz dwudziestoletnie zatrudnienie w amerykańskim Departamencie Skarbu. Obecnie jest pisarzem oraz konsultantem i we wrześniu 2007 będzie miał wystąpienie na dorocznej konferencji AMI (*American Monetary Institute*) w Chicago. Strona internetowa Cooka mieści się pod adresem: [www.richardccook.com](http://www.richardccook.com).



### OCZYMA KRONIKARZA

Jak wygląda „rwący nurt historii”, widziany oczyma Ryszarda Kapuścińskiego?

Kolejny raz wydawnictwo „Znak”, a ściślej Krystyna Strączek, zebrawszy wypowiedzi autora dla prasy próbuje przybliżyć nam myślenie Kapuścińskiego. Kolejny, bowiem w książce „Autoportret reportera” (recenzja w „Ulicy Wszystkich Świętych” nr 7 (79) 29. VII. 2006), mieliśmy okazję spojrzeć na sylwetkę autora „Imperium”, jego zawód wraz z całym szeregiem tajemnic. Tym razem podobnie, choć i tematyka szersza, bowiem sam tytuł czy podtytuł na to wskazuje, iż są to: zapiski o XX i XXI wieku.

Wybrane teksty pokazują Ryszarda Kapuścińskiego nie tylko jako reportera i pisarza. Wskazują również na dużą fachowość historyczną – może to wynik wykształcenia, ale także stawiają autora „Wojny futbolowej” w świetle bycia kronikarzem historii, która się dzieje lub zamierza dopiero narodzić. On sam potrafi podkreślić bezlitosny aspekt historii. Fakt, iż historia zawsze była ważniejsza niż jednostka, iż jest nadrzędna, ale nie tworzona zgodnie z wolą człowieka. Zwrócić uwagę na to, że w nie pogodzeniu się z byciem rządzonym przez ślepe siły i w niechęci do podporządkowywania się im - wyraża się godność człowieka. Zatem jako historyk umie równocześnie spojrzeć z dystansem i nie tylko chłodnym okiem badacza analizować bieg wydarzeń, a pochylić się również nad człowiekiem jak prawdziwy, wielki humanista.

Zbiór wypowiedzi Kapuścińskiego podzielony został na tematyczne rozdziały. Jeden z nich dotyczy na przykład Afryki - ściślej niektórych spośród 52 krajów tego kontynentu - czy globalnych problemów krajów Trzeciego Świata. Jest tu także część poświęcona Ameryce Łacińskiej, islamowi, Rosji, a także Europie i procesom globalizacji czy cywilizacji Pacyfiku.

Jak podają redaktorzy - można tę książkę traktować jako uzupełnienie dzieł reporterskich albo jako punkt wyjścia do rozważań o współczesnym świecie, bogatym i wielowymiarowym.

**AGNIESZKA BRYTAN**



## Terroryzm międzynarodowy nie istnieje

Jak wynika z obecnej sytuacji międzynarodowej, terroryzm pojawia się tam, gdzie pogłębiają się różnice, gdzie zmieniają się relacje społeczne lub reżim, gdzie sytuacja polityczna, gospodarcza lub społeczna jest niestabilna, gdzie pojawia się moralna dekadencja, gdzie tryumfują cynizm i nihilizm, gdzie przemoc jest zalegalizowana, a przestępczość wzrasta.

To globalizacja stwarza warunki dla tych wyjątkowo niebezpiecznych zjawisk. W tym właśnie kontekście zmienia się nowa, geostrategiczna mapa świata, dochodzi do redystrybucji bogactw planety, znikają granice, prawo międzynarodowe zostaje naruszone, tożsamości narodowe wymazane, a życie duchowe zubożone.

Analiza procesu globalizacji, doktryn militarnych i politycznych Stanów Zjednoczonych oraz innych krajów pokazują, że terroryzm ma swój udział w poddawaniu się przez państwa dominacji globalnej oligarchii. Oznacza to, iż terroryzm nie jest czymś niezależnym od światowej polityki, lecz jest instrumentem, środkiem służącym do ustanowienia jednobiegunowego świata z jednym centrum dowodzenia, pretekstem do usunięcia granic między narodami i ustanowienia władzy nowej światowej elity. To właśnie owa elita stanowi główny element światowego terroryzmu. Jest ona jego ideologiem i „ojcem chrzestnym”. Działania światowej elity wymierzone są w rzeczywistość historyczną, kulturalną, tradycyjną oraz naturalną; zastany system związków między państwami; światowy, narodowy oraz państwowy porządek cywilizacji ludzkiej oraz tożsamość narodową.

Dzisiejszy międzynarodowy terroryzm jest zjawiskiem, które łączy terror struktur państwowych i pozapaństwowych jako środek, za pomocą którego osiągnąć mogą one swoje cele polityczne poprzez zastraszenie ludzi, psychologiczną i społeczną destabilizację, wyeliminowanie oporu ze strony ważnych organizacji oraz utworzenie odpowiednich warunków dla manipulacji polityką państw oraz zachowaniem ludzi.

Terroryzm jest bronią, wykorzystywaną w nowym rodzaju wojny. Jednocześnie, terroryzm międzynarodowy, wspólnie z mediami, kieruje procesami globalnymi. To symbioza między mediami i terrorem pozwala na modyfikowanie polityki międzynarodowej i zastanej rzeczywistości.

W tym kontekście, jeśli przeanalizować wydarzenia, które miały miejsce 11. września 2001 w Stanach Zjednoczonych, można by dojść do następujących wniosków:

1. Organizatorzy tych ataków wywodzili się z kręgów politycznych i biznesowych, zainteresowanych zakłóceniem porządku światowego oraz mających dostęp do środków finansowych, potrzebnych do przeprowadzenia tej operacji. Idea ta wzrastała w obecności pojawiających się napięć w administracji finansowej i innych departamentach. Musimy szukać przyczyn ataków w zbieżności interesów Wielkiego Kapitału na poziomie globalnym i transnarodowym, w kręgach niezadowolonych z rytmu lub kierunku, w jakim postępowała globalizacja. W przeciwieństwie do tradycyjnych wojen, o których przebiegu decydują generałowie i politycy, w tym wypadku decyzje należały do oligarchów i polityków.

2. Tylko tajne służby i ich obecni szefowie, lub ci w stanie spoczynku, cieszący się wciąż wpływami w organizacjach państwowych, potrafią planować, zorganizować i przeprowadzić operację na taką skalę. Na ogół to tajne służby stwarzają, finansują i kontrolują organizacje ekstremistyczne. Bez poparcia tajnych służb, organizacje te nie mogłyby istnieć, nie mówiąc o wypełnianiu zadań na wielką skalę wewnątrz tak dobrze

i swojej religii SS, ponadto badały wszelkie dawne podania i przekazy, mogące być przydatnymi, w stworzeniu lub odnalezieniu kolejnej cudownej broni – „Wunderwaffe”.

Powyższy tekst powstał jako rozwinięcie wykładu, który wygłosiłem w lutym 2000 r. podczas jednego z wtorkowych spotkań w Lubelskim Klubie Fantastyki „Syriusz”, jako swego rodzaju drugą część cyklu o gnozie i gnostycyzmie, jaki przygotował kol. Tomasz Winiarczyk - prezes klubu.

Moje zainteresowania kataryzmem spowodowały fragmenty książki panów: Michaela Baigenta, Richarda Leihga i Henry'ego Lincolna „Święta Krew, Święty Graal” drukowane we fragmentach w jakiejś polskiej gazecie w 1984 r.

Do tych wątków mogłem wrócić dopiero po zmianach w latach 1989-1990, kiedy zaczęto w Polsce drukować prace historyków na ten temat. I tak przebrnąłem przez: „Średniowieczny manicheizm” Stevena Runcimana, „Albigensów i katarów” Ferdynanda Niela i wymieniony wcześniej tytuł: „Święta Krew, Święty Graal”, które pomogły mi przygotować swój tekst. Zainteresowała mnie bardzo mało znana część historii Francji, dziejąca się na jej południu, której poświęca się tylko jedną liniijkę w szkolnych podręcznikach historii. Nie mogłem wyjść ze zdumienia, że w chrześcijańskiej na wskroś Europie, i to jej zachodniej części, która wydawała mi się pewnym monolitem, pojawia się religia zupełnie inna, która dla wielu staje się bardziej atrakcyjna niż katolicyzm.

Zainteresowanych odsyłam do prac wspomnianych powyżej, zachęcam do samodzielnych poszukiwań, o całej masie artykułów nie wspominam, bo niedługo znajdziemy katarów w jednym worku z templariuszami, Atlantydy, Eskimosami i UFO. Śmieci w Internecie przybywa...

Wracając na koniec do religii „czystych” - samo wyznanie wiary katarów z Florencji brzmi jak wprowadzenie do ciekawej przygody, może zatem moje dywagacje coś miłośnikom *fantasy* i RPG podsuną.

1. *Katechizm Kościoła Katolickiego*, Pallotinum 1994, ss. 88 i 195

**MARCIN J. WACIŃSKI**

### Kontakt z redakcją:

red. nac.: Lech „Lele” Przychodzki, z-ca red. nac.: Vanda Zakrzewska,  
2F Fenghua Mingdu, no. 169 Mayuan Lu, 315010 Ningbo, China

**Stale pisują i tłumaczą:** Agnieszka Brytan, Krzysztof Drabik, Dominik Fijałkowski, Michał Graczyk, Stanisław Jan, Wojciech Kajtoch, Marian Karaś, Remigiusz Kasprzycki, Krzysztof Lewandowski, Edward „Lu” Soroka, Katarzyna Piotrowska, Henryk Sporoń, Oskar Szwabowski, Bartłomiej „Bart” Świderek, Ryszard Tomczyk, Agnieszka M. Wasieczko, Bogdan „Anastazy” Wiśniewski, Krzysztof Wojciechowski oraz przyjaciele z Białorusi, Litwy, Rosji i Ukrainy

**Gracyfy:** Jerzy Jakubów, Andrzej Kot, Kateřina Mojsesová

**Opieka nad sprzętem technicznym:** Krzysztof (ADAM) Szmydt, Jacek J. Wałdowski

**Uwaga:** teksty e-mailowe – jako dokument – mają formę oryginałów;

**PDF-y „Ulicy...” na stronie:** <http://innyswiat.most.org.pl/ulica/> (Admin: Arkadiusz Jeleń)

rokiem budowla znajdowała się w ruinie, po 1204 r. była centralnym ośrodkiem kataryzmu, zgromadzono tu skarbcę katarskich kościołów z całej Okcytanii oraz święte pisma. Przez prawie trzydzieści lat Guilhabert z Castres odwiedzał Montségur i głosił kazania, bywali tam też inni kaznodzieje i biskupi katarscy: Roger de la Motta, Bertrand d'en Marti.

Obłężenie rozpoczęło się w maju 1243 r., armia krzyżowców dowodził Hugo de Arcis. Obok uciekinierów i sympatyków kataryzmu, szukających schronienia przed krzyżowcami, znaleźli tam schronienie liczni diakoni katarscy: Rajmund Agulher, Piotr de Saint Martin, Bertrand d'en Martii, Amiel Aicart. Garnizon stanowiło 15 rycerzy pod wodzą Piotra Rogera z Mirepoix, liczni giermkowie i najemnicy, ponad setka zawodowych żołnierzy. Część rycerzy schroniła się w twierdzy wraz z rodzinami. Wraz z Ramonem de Perella przebywało tam ok. 500 osób. Świątynia otoczona była licznymi szałasami i przybudówkami i w pewnej części dodatkowo drewnianą palisadą. Tam gdzie ukształtowanie terenu pozwalało na podejście do twierdzy, odbyło się kilka starć, które nie miały rozstrzygającego charakteru. Obłężenie utrudniały liczne wąwozy i stromizny. Dzięki lukom w pierścieniu wojsk Hugona de Arcis, katarzy prawie cały czas utrzymywali kontakt ze współwyznawcami z Włoch. Obłężenie trwałoby jeszcze długo, gdyby nie podstęp, jaki zastosowali oblegający. Po mozolnej całonocnej wspinaczce, udało im się dotrzeć do bastionu – niewielkiej, niskiej wieży po wschodniej stronie twierdzy. Po jej opanowaniu, biskup Albi Durand, znany budowniczy machin miotających, zainstalował na niej małą balistę i zaczął bombardować mur twierdzy, odległy o zaledwie 80 metrów. Przebywający w Montségur budowniczy katedr Bertrand La Beccalaria z Capdenac, również specjalista od budowy machin obłężniczych niewiele mógł zdziałać. Próby zbrojnego odzyskania wieży nie powiodły się, tak jak podjęta próba ściągnięcia posiłków spoza twierdzy. W tej sytuacji Piotr-Roger z Mirepoix i Ramon de Perella zgodzili się poddać twierdzę, na ich warunki zgodzili się zarówno Hugo de Arcis, Piotr Amiel jak i brat Ferrier.

1. marca rozpoczęto pertraktacje, ci którzy nie wyrzekli się kataryzmu, mieli być skazani na stos. Pozostali mieli odzyskać wolność, pod warunkiem szczerej spowiedzi ze swoich błędów. Żołnierze mieli odejść wolno wraz z bronią i taborami. 14. marca w dzień wiosennego zrównania dnia z nocą, zgromadzeni w twierdzy odprawili uroczystości z okazji święta Bema, o którym niestety brak bliższych informacji. Większość „wierzących” i „doskonałych” nie wyrzekła się swojej wiary. 16. III. 1244 r. na stoku góry wzniesiono drewnianą wieżę i spalono w niej 110 katarów. Wśród nich był m. in. Bertrand d'en Martii - katarski biskup, następca Guilhaberta z Castres, Esklarmonda de Perella – córka Ramona de Perella - pana na Montsegur, jej matka Corba de Perella, oraz inni. Piotr-Roger z Mirepoix - dowódca garnizonu w podziemiach twierdzy ukrył kilku „doskonałych”. Dwa dni po spaleniu swoich współwyznawców, pisma, trochę kosztowności, być może jakieś ważne i drogocenne sprzęty liturgiczne zostały wyniesione przez czterech ukrywających się „doskonałych”. Udało im się ukryć podczas przeszukania i wyprowadzenia pozostałych katarów, a potem zejść po linie z 300 m urwiska. Początkowo skarb ten ukryto w pieczarach w Usson, później przekazywany coraz dalej, z uwagi na deptającą po piętach inkwizycję, zaginął. Po okresie inkwizycji przyszła Wielka Zaraza, później walki między Francją i Katalonią, które spustoszyły i dodatkowo wyludniły te ziemie. O katarach i ich skarbie zapomniano aż do XIX w., kiedy to na fali zainteresowania magią, ezoteryzmem i w ogóle Średniowieczem, zaczęto odwiedzać pustkowia wokół Montségur. Zainteresowanie ich dziejami zaowocowało otwarciem w Carcassonne Narodowego Ośrodka Badań nad Kataryzmem. Na uwagę zasługuje umieszczenie w poemacie Wolframa z Eschenbach – *Parcifal* - zamku „Muntselvesche”, czyli Montsalvat, co jest wariantem nazwy Montségur, jako miejsca przechowywania Świętego Graala. Legendy z tym związane i spore luki w wiedzy czym był kataryzm, zaowocowały najbardziej dziwnymi teoriami. W latach 30–tych XX w. na tereny te przybył młody niemiecki naukowiec Otto Rahn, który prowadził tam studia nad kataryzmem. Już po wkroczeniu wojsk niemieckich do Francji w czerwcu 1940 roku, tereny wokół Montségur znalazły się w kręgu zainteresowań organizacji „Deutsches Ahrenerbe” i „Weisthor”. Obydwie te organizacje, szukały elementów, które mogłyby pomóc w zbudowaniu mistyki



Iwashov (left) with Webster Tarpley at Axis for Peace Conference, Brussels

strzeżonych państw. Zaplanowanie i przeprowadzenie operacji o tych rozmiarach jest niezmiernie skomplikowane.

3. Osama ibn Laden i Al-Khaida nie mogli być organizatorami ani wykonawcami ataków z 11. września. Nie posiadają bowiem niezbędnych środków, stopnia zorganizowania ani przywódców. Dlatego też konieczne było powołanie zespołu profesjonalistów, a arabscy kamikadze byli jedynie statystami. Atak z 11. września zmienił przebieg wydarzeń na świecie w kierunku wybranym przez transnarodowe mafie i międzynarodową oligarchię; innymi słowy, przez tych - którzy mają nadzieję przejąć kontrolę nad zasobami planety, światową siecią komunikacyjną i przepływem gotówki. Operacja

ta przyniosła korzyść politycznej i ekonomicznej elicie amerykańskiej, która również dąży do dominacji w świecie.

Użycie terminu „terrorizm międzynarodowy” ma na celu, co następuje:

1. Ukrycie prawdziwych celów sił, będących na całym świecie w stanie gotowości do walki o dominację i kontrolę;
2. Stworzenie publicznej potrzeby walki o niezdefiniowane cele z niewidzialnym wrogiem;
3. Zniszczenie podstawowych norm międzynarodowych i przededefiniowanie pojęć takich jak: agresja, terror państwowy, dyktatura czy ruch wyzwolenia narodowego;
4. Pozbawienie ludzi ich niezbywalnego prawa do opierania się agresji i odrzucenia działań zagranicznych wywiadów;
5. Ustanowienie zasady odrzucenia interesów narodowych, transformacji celów na polu walki poprzez udzielenie priorytetu wojnie z terrorem, zaburzenie logiki sprzymierzeń militarnych na niekorzyść wspólnej obrony, faworyzując koalicję antyterrorystyczną;
6. Rozwiązywanie problemów ekonomicznych poprzez wzmocnienie kontroli militarnej pod pretekstem walki z terrorem.

Aby skutecznie przeciwstawić się międzynarodowemu terroryzmowi, należy przedsięwziąć następujące kroki:

1. Zatwierdzić przed Zgromadzeniem Narodowym ONZ założenia Karty Narodów Zjednoczonych i prawa międzynarodowego, które wszystkie państwa mają obowiązek przestrzegać;
2. Stworzyć geostrategiczną organizację (być może zainspirowaną Cooperation Organization of Shanghai, składającą się z Rosji, Chin, Kazachstanu, Uzbekistanu i Tadżykistanu), która rozwijałaby inne wartości, niż te krajów atlantyckich; opracowanie strategii rozwoju państw, systemu bezpieczeństwa międzynarodowego, innego modelu finansowego i gospodarczego (co pozwalałoby światu znowu spocząć na dwóch filarach);
3. Zrzeszyć (w ONZ) elity naukowe skupiające się na opracowywaniu i promowaniu założeń filozoficznych Człowieka XXI Wieku;
4. Zorganizować wymianę pomiędzy głównymi religiami świata, aby zapewnić stabilny rozwój ludzkości, bezpieczeństwo i wzajemne wsparcie.

(Artykuł ten został napisany 22. stycznia 2006, jako podsumowanie „Osi Pokoju” dla Konferencji Pokojowej w Brukseli w 2005 roku).

General Leonid Iwaszow jest obecnie wiceprezydentem rosyjskiej akademii, zajmującej się sprawami geopolitycznymi. Był on szefem Departamentu Spraw Generalnych Ministerstwa Obrony Związku Radzieckiego, sekretarzem Rady Ministrów Obrony Związku Niepodległych Państw, szefem Departamentu Współpracy Militarnej przy Ministerstwie Obrony Federacji Rosyjskiej. Był także głównodowodzącym Rosyjskich Sił Zbrojnych, gdy miał miejsce atak 11. września 2001. Iwaszow, bezpośrednio doświadczony tych wydarzeń, proponuje analizę, która różni się zasadniczo od tej, opracowanej przez jego amerykańskich kolegów. Tak jak podczas konferencji „Oś Pokoju” w 2005 roku, general Iwaszow wyjaśnia, że terroryzm międzynarodowy nie istnieje, a atak 11. września został zaaranżowany. To, czego jesteśmy świadkami, to manipulacja wielkich sił; bez nich terroryzm nie mógłby zaistnieć. Potwierdza on, iż zamiast udawać „światową wojnę z terrorem”, najlepszym sposobem na ograniczenie tego rodzaju ataków jest przestrzeganie praw międzynarodowych i pokojowa współpraca między krajami i ich obywatelami.

General **LEONID IWASZOW**,  
były szef Rosyjskiego Sztabu Wojskowego  
Z <http://physics911.net>  
tłum. **VANDA ZAKRZEWSKA**



*Krzysztof Lewandowski podczas warsztatów dziennikarskich w Lublinie, rok 2004. Fot.: Lele*

*Tym razem Krzysztof Lewandowski proponuje... No właśnie:*

**Propozycja jest taka mianowicie, szybko-ewolucjonistyczna:**

Nie trzeba nic zmieniać w prawie, ale potrzebna jest decyzja mądrego sejmu w sprawie Ministerstwa Pokoju.

**Postulujemy utworzenie Ministerstwa Pokoju w ramach rządu RP.** Ministerstwo będzie realizować różnorodne programy wspierające pokój i będzie mocą decyzji sejmowej posiadać „budżet”, równy budżetowi Ministerstwa Obrony Narodowej.

Oczywiście tak wielkich rezerw nie ma w naszym budżecie, ale my nie chcemy żadnych pieniędzy z budżetu. Chcemy te pieniądze dla budżetu sami wypracować w ramach bezpiecznej wymiany lokalnych towarów i usług, prowadzonej za pośrednictwem pilotażowego programu ekonomicznego, dostępnego bezpłatnie dla wszystkich zainteresowanych taką wymianą. Program będzie rejestrował wszystkie transakcje dla potrzeb obliczenia należnego podatku.

Naszym postulatem jest, aby te należne podatki, wypracowane w ramach realizacji programów bezpiecznej wymiany, nadzorowanych przez Ministerstwo Pokoju, były refundowane w ramach przyjętego przez sejm, poszerzonego w ten sposób budżetu narodowego.

Podatki byłyby refundowane do wysokości budżetu MON, a gdybyśmy wypracowali kwoty należnych podatków większe, niż budżet MON, będą one kierowane do budżetu, zwiększając go.

## Ale to dopiero preludium...

Prawdziwym przyspieszeniem ewolucji cywilizacyjnej jest jak najszybsza realizacja przez rząd postulatów Narodowej Dywidendy od Nowoczesności. Amerykanie obliczyli, że w 2006 r. wyniosła ona 4800 dolarów miesięcznie dla 4-osobowej rodziny amerykańskiej. W dzisiejszej Polsce wynosi ona prawdopodobnie tyle, ale w złotych, czyli po 1200 złotych miesięcznie dla każdego obywatela.

Dywidendę można tworzyć tak, jak obecnie banki tworzą kredyt, czyli poprzez jej księgowanie na dwóch przeciwstawnych kontach ze znakami plus i minus. Postulowana Narodowa Dywidenda od Nowoczesności jest bezwrotna, a wykreowany za jej pośrednictwem pieniądz ulegałby anihilacji w systemie podatkowym.

Anihilacja podatków to kolejne *novum*, jakie wykreśla z krajobrazu gospodarczego fikcję budżetu państwa, który każdego roku jest zadłużany wobec banków. To bezsens, gdy rząd zadłuża się w bankach, gdy mógłby zadłużać się sam u siebie i sam sobie płacić odsetki. Ten paradoks współczesnych relacji banki-rząd likwiduje zasadę anihilacji pieniądza poprzez podatki. Budżet tworzony z algorytmu różnicy PKB i siły nabywczej obywateli i firm byłby budżetem stabilnym, nie-inflacyjnym.

W dalszej kolejności postulujemy uproszczenie i całkowite zautomatyzowanie ściągania i obliczania podatków, aby obywatele nie musieli o tym myśleć. W dobie informacji jest to wręcz minimum, jakiego od polityków powinni żądać wyborcy w przeciągu pojedynczej kadencji.

Z ministerialnym pozdrowieniem  
KRZYSZTOF



## Kataryzm (4)

### Montségur

W 1204 r. katarzy zwrócili się do Ramona de Perella z prośbą o rekonstrukcję budowli. Najprawdopodobniej już wcześniej istniała tam świątynia lub zamek.

Jest to wapienne wzgórze o dł. 1 km, i szerokości od 3 do 500 metrów. Wzgórze jest nachylone ku wschodowi, zaś najłagodniejsza - południowa - część dochodzi do miejsca, gdzie od zamku dzieli ją 150 m. Na nim wznosi się coś w rodzaju pięciobocznej kamiennej skrzyni, z małą wieżą obok. Nie jest to właściwie zamek, czy w ogóle dzieło obronne, nie posiada bowiem wież, krenelarów - czyli znanych powszechnie zębów wieńczących mur, czy jakichkolwiek innych elementów obronnych. Z racji zorientowania względem słońca, budowla zasługuje raczej na miano świątyni, choć nie bardzo wiadomo, jakim obrzędem miałyby służyć. Znajdujące się w niej otwory są dokładnie zorientowane na Słońce w dniu jego wiosennego przesilenia. Ma to być może związek z katarskim świętem Bema, o którym wspominałem wyżej, obchodzonym właśnie na wiosnę. Przed 1204